NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 28 września 1907. Nr. 39.

Rosyjscy bandyci w Szwajcaryi. (Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Ponieważ z numerem dzisiejszym kończy się trzeci kwartał wydawnictwa, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

W tym celu załączamy do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe dla Prenumeratorów galicyjskich.

Przedpłatę nadsyłać najlepiej wprost do naszej Administracyi centralnej pod adresem:

Kraków, ul. Zacisze 7.

W Królestwie Polskiem można prenumerować tylko za pośrednictwem naszego głównego zastępcy:

Biura G. Ungra w Warszawie
ul. Wierzbowa 8, lub Aleja Jerozolimska 78.

Na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie, przyjmują przedpłatę na pismo nasze oprócz biur Ungra w Warszawie, wszystkie księgarnie.

Prenumerata w Galicyi do końca roku, już wraz z przesyłką pocztową, wynosi **tylko 4 K.**

Nowoprzystępujący prenumeratorowie otrzymają **bezpłatnie** początek drukującej się obecnie sensacyjnej powieści p. t.:

„Zbrodnia przy ulicy Monge“.

Od Redakcyi.

Z początkiem listopada br. rozpoczynamy drukować najnowszą, specyalnie dla naszego pisma **napisaną** powieść znakomitego autora, w dzisiejszej dobie jednego z najpopularniejszych i najwybitniejszych powieściopisarzy polskich, **Artura Gruszeckiego**. Powieść nosi tytuł:

„Kolejarze“

a rozgrywa się częściowo w Galicyi, częściowo w Królestwie Polskiem. Znakomity powieściopisarz odbywał w tym celu specyalne studya i przez szereg miesięcy zaznajamiał się szczegółowo z urządzeniami i stosunkami na kolejach tak galicyjskich, jak w Królestwie Polskiem.

Nie wątpimy, że wiadomość tę przyjmą P. T. Czytelnicy nasi ze szczerem zadowoleniem, wszystkie bowiem dotąd przez nas drukowane powieści p. Gruszeckiego cieszyły się niebywałą wprost poczytnością.

Rosyjscy bandyci w Szwajcaryi.

(Do illustracyi tytułowej).

Bandytom rosyjskim zaczyna być widocznie za ciasno w granicach ojczystego państwa. Może rząd cesarstwa zbyt im nastaje na pięty, może nie mają tam dość żeru, gdy wskutek ich zdziczałych wybryków zamożni mieszkańcy albo opuścili granice Rosyi, albo otoczyli się zbyt baczną opieką, dość iż coraz częściej słyszy się o „występach“ bandytów rosyjskich na szerokim świecie.

Ostatni wypadek bandyckiego napadu, spełnionego przez Rosyan, zaszedł w ubiegłym tygodniu w Szwajcaryi, w mieście Montreux, nad jeziorem genewskiem. Miejscowość ta koncentruje bardzo wielu cudzoziemców, zwłaszcza zaś bogatej arystokracyi rosyjskiej, która nie czując się bezpieczną w Rosyi, schroniła się na obczyznę.

Szczegóły wspomnianego wypadku przedstawiają się wedle wiadomości tamtejszych w następujący



»Szkoła« na scenie: Zygmunt Kawecki.

sposób: w czwartek ubiegłego tygodnia, około godziny 11-ej przedpołudniem, weszło do filii banku w Montreux dwóch cudzoziemców i przy kasie przedłożyło do wymiany czek na 300 franków. W oddziale kasowym był w owej chwili tylko kasyer Guedel, młody, dwudziestokilkuletni człowiek. Guedel odebrał czek i położywszy go na biurku, pochylił się nad nim. W tej chwili jeden z przybyszów dobył rewolweru i strzelił, trafiając nieszczęsną ofiarę w głowę. Strzał był celny i spowodował natychmiastową śmierć Guedla. W chwili gdy kasyer upadł zalany krwią i bez zmysłów na podłogę, bandyci przeskoczyli baryerkę, odgraniczającą kasę, zabrali stamtąd 10.000 franków i ze zdobyczą tą rzucili się do ucieczki. Tu jednak już nie sprzyjało im szczęście. Odgłos strzału bowiem, który donośnem echem rozległ się w całym budynku bankowym, zwabił służbę banku, która zoryentowawszy się szybko w sytuacyi, rzuciła się w pogoń za uciekającymi rzezimieszkami. Przy pomocy przechodniów i policyi udało się po chwili uciekających bandytów ująć i ubezwładnić. Nie obeszło się jednak przytem bez nowych ofiar. Oto bandyci widząc, iż dalsza ucieczka staje się wobec mnogości ścigających i ich zapamiętałości niemożliwą, zwrócili się ku nim i dali z rewolwerów kilka strzałów w tłum. Skutkiem tego odniosły cztery osoby rany, z których jedna jest beznadziejnie chorą.

Przy ujętych bandytach znaleziono prócz zrabowanej gotówki sztylet i 50 nabojów. Przesłuchiwani w policyi, podali początkowo, iż są Hiszpanami, dalsze śledztwo jednak wykazało, iż są to rosyjscy bandyci. Identyczności ich dotąd nie stwierdzono, wiadomo tylko, iż jeden z nich liczy 21, a drugi 25 lat.

Wypadek wyżej opisany wywołał w całem Montreux szalony popłoch i poruszenie. Jest to oczywiste i zrozumiałe. Wszak sporo tam ludzi boga_



Zmiany w galicyjskiej dyrekcyi skarbu: Grono wyższych urzędników konceptowych galicyjskiej dyrekcyi skarbu we Lwowie. Minister skarbu dr. Witold Mora Korytowski (X); ustępujący zastępca wiceprezydenta dr. Emil Zubrzycki (1); nowy zastępca wiceprezydenta radca dw. Karol Fritz (2); obecny szef i wiceprezydent kraj. dyr. skarbu radca dw. Prokopowicz (3.)

tych z Rosyi, którzy to właśnie miejsce obrali za bezpieczne schronienie przed bandyckimi napadami. Gdy więc okazało się, że i tam bandyci poczynają grasować, że i tam bezpieczeństwo stało się zupełnie illuzorycznem, więc nic dziwnego, że przerażenie ogarnęło i kolonię rosyjską w Szwajcaryi i ludność miejscową.

Polegli w Marokku Francuzi.

Po walnej bitwie, stoczonej w początkach bieżącego miesiąca, nastąpił w Marokku względny spokój. Przez pewien czas nawet spodziewano się, iż rozpoczną się pokojowe negocyacye, zwłaszcza gdy kilka plemion zgłosiło swe poddanie orężowi francuskiemu. Niestety, złudzenie to krótko trwało. Jenerał Drude przygotowuje się do pochodu naprzód, plan jego bowiem został zatwierdzony przez rząd w Paryżu już dawniej i chwilowa tylko niedyspozycya dowódcy powstrzymała armię francuską od kroków zaczepnych. Oczekiwany ten wymarsz ma na celu nietylko poskromienie zbuntowanych Marokańczyków, ale i pomszczenie ofiar, jakie ponieśli Francuzi w tej pierwszej bitwie. Padło wtedy dwóch dzielnych oficerów, kapitan legii cudzoziemskiej Provost i porucznik Benizza, krajowiec. Jak opisują gazety francuskie, pogrzeb kapitana Provosta odbył się jednocześnie z pochowaniem zwłok jednego z żołnierzy tej legii.

Rano o godzinie 9 ciało kapitana, które było od dnia poprzedniego wystawione przed namiotem na widok publiczny, złożono na furgon artyleryjski, zaprzężony w jednego muła. Trumnę okrywała chorągiew trójkolorowa, na której umieszczono kepi i odznaki oficerskie zabitego. Po odegraniu pobudki wojskowej, w ciszy i skupieniu przy dźwiękach marsza żałobnego ruszył ten smutny pochód. Żołnierze z miłości dla swego kapitana trumnę całą pokryli kwiatami, koronami, wieńcami, które sami spletli i nieśli na czele posępnego orszaku. Krzyż zaś niesiony przez legionistę, cały był owity kwiatami. Batalion, którym dowodził zmarły, pełnił straż honorową.

Przed ambulansem obozowym zatrzymano się, by zabrać razem na miejsce wiecznego spoczynku i ciało legionisty, które na ramiona swe wzięli towarzysze pułkowi. W oddaniu ostatniej tej usługi brał udział jenerał Drude, admirał Philibert, dowódca wojsk hiszpańskich, pułkownik Santa-Olalla, cały sztab i liczni oficerowie wszystkich wojsk z pod Casablanki, jak również i dwóch Franciszkanów hiszpańskich, którzy odprawili nad otwartym grobem modły pogrzebowe, cała kolonia francuska i korespondenci gazet europejskich.

Podzwrotnikowe słońce, pomimo rannej godziny, prażyło ognistymi promieniami. Cisza.... i naraz uderzono w bębny, zagrały trąby, a grudy ziemi z łoskotem padły na dwie trumny. Wszyscy odczuli powagę tej chwili, bo każdego z obecnych tam może spotkać podobny los na polu walki. Jenerał Drude zabrał głos i w krótkich słowach pożegnał zmarłych. Krew przelana nie została oddaną napróżno, ojczyzna okryje wdzięcznością tych, co za nią życie swe kładą.

Po skończonym obrzędzie uczestnicy pogrzebu udali się do obozu, by szykować się do wymarszu na nieprzyjaciela.



Fot. A. Drankow Petersburg.

Rozbicie »Standartu«: Pancernik »Gwiazda polarna«, przeznaczony obecnie na jacht cesarza.

Zmiany w galicyjskiej dyrekcyi skarbu.

W bieżącym tygodniu ustąpił z zajmowanej dotychczas posady zastępca wiceprezydenta dyrekcyi skarbu dr. Emil Winiawa-Zubrzycki. Ustępujący drugi wiceprezydent liczy 66 lat, z tego przeszło 37 spędził w służbie państwowej. Dzięki swoim zdolnościom i gorliwości służbowej już w dwunastym roku służby zamianowany został radcą skarbu i odtąd awansował coraz wyżej. Zasługi jego nagrodzono nietylko awansem, ale i całym szeregiem odznaczeń i orderów. Przenosząc go na własne żądanie w stan spoczynku obdarzył go cesarz krzyżem komandorskim Franciszka-Józefa z gwiazdą. Ustępującemu drugiemu wiceprezydentowi towarzyszy ogólny żal kolegów i podwładnych, dla których był szczerym doradcą i ogólnie lubianym szefem.

Miejsce ustępującego zastępcy wiceprezydenta zajmie radca dworu Karol Fritz, dotychczasowy aprobant działu należytościowego, a więc piastujący w hierarchii fiskalnej wybitne stanowisko. Liczy on obecnie lat 57, z których 36 spędził już



Polegli w Marokku Francuzi: Orszak pogrzebowy.



Polegli w Marokku Francuzi: Zwłoki kapitana Provosta i jednego legionisty w orszaku pogrzebowym.

w służbie państwowej. Radca dworu Karol Fritz jest jednym z najenergiczniejszych urzędników skarbowych, a Lwowianie pamiętają go szczególnie z czasów, kiedy to za rządów prezydenta Małachowskiego odebrano gminie ściąganie podatków a oddano dyrekcyi skarbowej, która misyę tę powierzyła p. Fritzowi. P. Karol Fritz jest kawalerem orderu Leopolda.

Rozbicie „Standartu“.

Na cichych wodach finlandzkich rosyjskiej rodzinie carskiej groziło wielkie niebezpieczeństwo, spowodowane niedbalstwem kontradmirała Niłowa. Zatoka Fińska, na wodach której cesarz Mikołaj zażywał letnich wczasów, jeży się cała podwodnemi skałami; czynią one żeglugę nadzwyczaj trudną, zazwyczaj więc piloci przeprowadzają okręty. Najlepszy pilot finlandzki Bomkwist prowadził jacht cesarski „Standart“, gdy jednak dojeżdżano do przecudnej zatoki Relak, odstąpił od steru z powodu zbyt szybkiej jazdy. Flagkapitan kontradmirał Niłow nie chciał zwolnić biegu, przyjmując na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo jazdy. Stało się więc to, czego można się było spodziewać przy kierownictwie rosyjskiego admirała. Było rano; rodzina cesarska jeszcze spała, gdy naraz rozległ się przeraźliwy zgrzyt, „Standart“ cały zatrząsł się i naraz stanął nieporuszony, woda tylko gwałtownie poczęła zalewać wnętrze okrętu. „Standart“ wbił się na dwie wielkie skały podwodne. Niebezpieczeństwo groziło wielkie, szczęśliwie jednak zostało zażegnane. W kadłubie okrętu powstało sześć wielkich otworów, przez które wdarła się woda; przestrzeń maszynowa okrętu, doszczętnie została zrujnowana, olbrzymi kocioł parowy stoczył się na bok, powodując przechylenie okrętu na jedną stronę. „Standart“ więc jest na razie zupełnie prawie rozbity, zdjęcie go zaś ze skał przedstawiało niesłychane trudności, na które trzeba było poświęcić wiele czasu i bardzo wiele pieniędzy.

„Standart“ jest najpiękniejszym i jednym z najdroższych okrętów na świecie; nieskończenie przewyższa jachty innych panujących. Król na wyspach, Edward VII., odbywa podróże na przestarzałym i powolnym okręcie „Wiktoria i Albert“, pruski „Hohenzollern“ jest przedewszystkiem krążownikiem wojennym, „Miramare“ cesarza austryackiego przypomina swym wyglądem bardzo dawne czasy, jedynie „Standard“ urządzony jest iście z cesarskim przepychem.



(Fot. A. Drankow, Petersburg.)
Rozbicie »Standartu«: Skała obok »Standartu«.



Rozbicie »Standartu«: Podnoszenie »Standartu« ze skały. (Fot. A. Drankow, Petersburg).

„Standart“ został zbudowany w roku 1895 z rozkazu cesarza Mikołaja. Długość jego wynosi 113 metrów, szerokość 15·6 mtr., zanurzenie zajmuje 6·6 mtr., pojemność wynosi 5480 ton. Maszyny wytwarzają siłę 12.000 koni, która daje szybkość 22 węzłów na godzinę. Załoga liczy 370 ludzi, zapas węgla wynosi 860 ton, co starczy na przebycie 3000 mil morskich. Uzbrojenie okrętu stanowi 8 małych armat salutujących. Przepych urządzenia apartamentów cesarskich przewyższa wszelkie oczekiwania. Część okrętu, przeznaczona dla dworu, oddzieloną jest od reszty okrętu stalową płytą, sięgającą od górnego pokładu aż do samego dna. Apartamenty cesarskie znajdują się na jednym pokładzie i składają się każdy z czterech wielkich salonów, łazienek i gabinetów toaletowych. Ściany wykładane są najdroższem drzewem, które znowu bogato ozdobiono złoceniami. Sala jadalna zajmuje w swej wysokości dwa pokłady, kończy się zaś wspaniałą kopułą ze szkła kryształowego; dalej następują fumoiry, salony recepcyjne, do gry, czytelnia i biblioteka. Górny pokład, pokryty przepysznym, niezmiernej wielkości dywanem, służy do przechadzki; obstawiony cudownymi kwiatami, podzwrotnikowemi roślinami, stanowi prawdziwy bujający ogród Semiramidy. O całym przepychu, z jakim urządzono ten jacht, może świadczyć suma nań wyłożona, która wynosi 15 milionów rubli.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

38 (Dokończenie).

Bal zgasił lampę kuchenną, zamknął drzwi do dalszych pokojów za sobą i wszedł do salonu, gdzie siedział związany Gołubiew.

— Wyjąć mu knebel — a po chwili — widziałeś sam, że lokaj związany, ajent, który był w kuchni, wyszedł, krzyk żaden nie pomoże. Wyrok otrzymałeś, gotuj się na śmierć. Jeśli chcesz, napisz testament. Chcesz?

— Proszę o to — wybełkotał.

— Rozwiążcie mu ręce, ale stańcie z obu stron.

Gołubiew wziął pióro w drżącą rękę, próbował pisać, nie mógł i wybuchając płaczem jęczał:

— Zlitujcie się nademną!... zlitujcie!... wyjadę! zniknę! Co ja wam złego zrobiłem? Miejcie serce!

— Nie płacz i nie proś - rzekł surowo Bal— w doręczonym ci wyroku były podane przyczyny, a teraz dodałeś nową zbrodnię. Kazałeś bezprawnie powiesić Bronisława Siewkę, a oto jego ojciec.

— Pozwólcie mi się pomodlić — szepnął Gołubiew.

Udał zatopionego w modlitwie, byle zyskać na czasie, umówił się bowiem z podpułkownikiem, że w razie nieprzewidzianej przeszkody da mu znać, kiedy spotkają się w klubie, miał więc słabą nadzieję, że może von Plessen przyjdzie.

Bal, patrząc na przerażonego, zastraszonego i modlącego się Gołubiewa, poczuł głęboką odrazę do wykonywania wyroków partyi.

Prawda, że Gołubiew zasłużył na karę śmierci, prawda, że w obecnym systemie wymiar kary musi być samowolny, ale równocześnie poczucie etyki podniosło w nim gwałt. Oto podstępnie, z przemożną siłą wdarł się do mieszkania, oskarżony jest pozbawiony wszelkiej obrony i ostatecznie spełnia się na nim gwałt straszny, pozbawiając go życia.

Wbrew woli poczuł pewne współczucie z modlącym się i głęboki wstyd, że sam dobrowolnie zostaje katem.

Postanowił wystąpić z bojowej organizacyi i przyrzekł sobie, iż to jest ostatni wyrok partyjny, który spełnia.

Spojrzał na towarzyszy, dojrzał wyraz zniecierpliwienia, a w twarzy Wawrzka nieubłaganą srogość, oczyma żądali, by oddał im Gołubiewa.

I napłynęła fala niechęci do tych ludzi, na nieme żądania odpowiedział znakiem odmownym.

Gołubiew starał się zyskać na czasie, umówił się bowiem z podpułkownikiem von Plessen, że ten, jadąc do klubu, wstąpi po niego.

Istotnie von Plessen kilkakrotnie telefonował do Gołubiewa i nie otrzymując żadnej odpowiedzi, podejrzewał, iż zaszło coś niezwykłego, polecił więc oficerowi dyżurnemu, aby pojechał do mieszkania sekretarza i osobiście się przekonał, co za powód milczenia.

I w chwili, gdy Gołubiew ukląkł do modlitwy, rozległ się w przedpokoju dzwonek. Wszyscy spojrzeli na Bala, czekając rozkazu, a ou poszedł równym krokiem do przedpokoju, zajrzał przez okienko i dostrzegł oficera w towarzystwie ajentów, którzy przyszli na zmianę, a nie zastawszy swych kolegów, czekali bezradni przed kamienicą.

Gołubiew korzystając z tej chwili, skoczył na pokój i krzyknął jak najgłośniej:

— Ratunku!

Wprawdzie natychmiast pochwycił go Wawrzyk i zatkał usta, ale oficer posłyszał krzyk i uszu Bala doszedł rozkaz przyniesienia siekiery i zamknięcia bramy.

Bal opatrzył zamek i łańcuchy, wszedł szybko do pokoju i rozkazał:

— Towarzysze, przez drzwi kuchenne! Ratujcie się!

Wawrzyk, który przy pomocy Marcelka ubezwładnił Gołubiewa, spojrzał chmurny na Bala i spytał głuchym głosem:

— A z nim co? — wskazał na leżącego Gołubiewa.

— Załatwi się.

— On do mnie należy — mruknął, porwał leżącego i zaniósł do drugiego pokoju.

Ze schodów kuchennych dosłyszał Bal strzały rewolwerowe, szybko udał się do kuchni i przez otwarte drzwi widział padającego Marcelka i biegnących po schodach z rewolwerami w ręku dwóch policyantów.

Bal zatrzasnął drzwi, zamknął na klucz, to samo zrobił z dalszemi drzwiami, a gdy wszedł do pokoju sypialnego posłyszał rzężenie powieszonego Gołubiewa.

Wzdrygnął się i błyskawicznie ujrzał obraz, gdy sam zawiśnie na stryczku.

— Lepsza kula — i opatrzył rewolwer.

Wawrzyk podszedł i mruknął:

— Zemściłem się — a po chwili, gdy posłyszał z jednej i z drugiej strony wyłamywanie drzwi, szepnął głucho: — zginiemy!

Bal w milczeniu zdjął z łóżka kapę, prześcieradło, skręcił, związał ze sobą, zgasił lampę, otworzył okno i przywiązawszy ten sznur do ramy okna rozkazał:

— Uchodźcie towarzyszu.

— Wy pierwsi — rzekł Wawrzyk usuwając się od okna.

W tej chwili dobijano się do drzwi pokoju sypialnego z jednej i drugiej strony i naciskane drzwi wygięły się i lada sekunda mogły runąć.

Bal spojrzał w ulicę i dojrzał w świetle latarni dwóch żandarmów na koniach zaalarmowanych strzałami.

Pochwycą mnie lub ranią i żywcem dostanę się w ich ręce.

Odstąpił od okna i rzekł spokojnie:

— Zapóźno.

Z rewolwerem gotowym do strzału czekał runięcia drzwi. Odezwało się silne uderzenie siekierą w zamek i drzwi rozwarły się z łoskotem.

Rozległy się dwa strzały, pierwszy strzelił Wawrzyk w ajentów, a drugi strzał był Bala, który przyłożył sobie lufę do skroni, nacisnął cyngiel i padł martwy.

XVII.

Śmierć Bala wywołała ogromne przygnębienie Wandy, Logiki, Porwy i Koli, ubył im brat i przyjaciel, na którego zawsze bezpiecznie mogli liczyć i którego szczerze kochali.

W partyi również dał się odczuć wielki brak człowieka inteligentnego, śmiałego, rozważnego, któremu bojowa organizacya ślepo wierzyła i każdy rozkaz spełniała bez szemrania. Na miejsce Bala wybrano Strzałę, człowieka wielkiej odwagi, lecz namiętnego i zawziętego wroga policyi i żandarmeryi.

Strzała nie mając tych stosunków co Bal i jego bystrej obserwacyi, zamiast inicyatorów ucisku zaczął tępić ślepych wykonawców rozkazów wyższych, jak żołnierzy policyjnych, strażników i żandarmów, co bardzo znacznie obniżyło opinię o całej partyi, a nawet w łonie samej partyi budziło niezadowolenie z powodu licznych bezcelowych zabójstw niższych funkcyonaryuszy.

Pierwszy otrząsnął się z żalu Porwa i wraz z Logiką zaczęli brać czynny udział w wyborze nowych, liczniejszych aniżeli poprzednio członków komitetu centralnego i delegatów.

Nadszedł wreszcie dzień posiedzenia komitetu z udziałem delegatów organizacyi miast prowincyonalnych.

Posiedzenie zagaił Porwa, a na przewodniczącego wybrano inżyniera z fabryki częstochowskiej, zwanego w partyi Ptakiem.

Na porządku dziennym była sprawa taktyki stronnictwa.

Wśród trzydziestu zebranych towarzyszy zaczęły się podnosić głosy przeciw licznym zabójstwom, które, wzmagając ucisk rządowy, nie przyczyniają się do rozwoju partyi i nie osiągają zamierzonego celu.

Te poszczególne krytyczne głosy ujął w całość Nestberg i godząc się na potępienie tej taktyki, mówił w dalszym ciągu:

— Stoimy odosobnieni wśród ruchu proletaryatu tak niemieckiego, jak i rosyjskiego, gdyż zbytnio utonęliśmy w narodowości. Dotychczasowa nasza idea stworzenia niepodległej Polski z ustrojem socyalistycznym, nie da się pogodzić z ideą socyalizmu. Odsuwa się od nas partya socyalnych demokratów, odsuwa się bund, bo widzą w nas szermierzy ustroju, który się dawno przeżył, ustroju niepodległego państwa polskiego. Proletaryat zna tylko braterstwo ludów, bez żadnych ograniczeń państwowych i narodowościowych i jeśli chcemy iść wspólnie z innemi partyami, jeśli chcemy zwycięstwa proletaryatu, musimy się pozbyć ciasnej wyłączności narodowej, która powoduje nietylko nasze osamotnienie, ale wytwarza nam z naszych naturalnych sprzymierzeńców, jeśli już nie wrogów, to ludzi niechętnych. Z tego powodu stawiam wniosek, aby usunąć z haseł naszej partyi niepodległość Polski, a przyjąć usamodzielnienie. Zmiana bardzo drobna, bo tylko jednego słowa, a ogromnie doniosła w swych skutkach, gdyż zbliżamy się do idei ogólnej socyalizmu, zyskujemy poparcie proletaryatu świata, nikogo nie będzie zrażało słowo usamodzielnienie, a państwo polskie niepodległe logicznie nie wiąże się z ideą socyalizmu i razi wszystkich.

Wszczęła się bardzo żywa i namiętna dyskusya, wreszcie przemówił wśród ogólnej ciszy Porwa:

— Myli się towarzysz Nestberg nazywając nasze dążenie do wywalczenia niepodległej Polski, hasłem, to nie hasło, to treść życia i naszego i naszej partyi. W tym celu zorganizowaliśmy się, w tym celu rozpoczęliśmy zwalczać despotyzm, nie szczędząc żadnych ofiar. Niepodległość, to nie hasło, które da się zmieniać jak rękawiczka, to jest duch, który nas ożywia, to ideał nasz, dla którego niema za wielkich ofiar. Radzi towarzysz zastąpić ten wyraz słowem usamodzielnienie, czyli innemi słowy, jak gdyby radził głodnym i spragnionym, aby zamiast chlebem, żyli pianką cukrową. Niezależność zawiera w sobie całą sumę skarbów wolności, nieodzownych narodowi do rozwoju i życia, a usamodzielnienie jest częściowem zrzuceniem jarzma niewolniczego, kajdany jednak pozostają tak polityczne, jak i społeczne i gospodarcze. My nie możemy i nie powinniśmy oglądać się na pochwały lub nagany tych lub owych partyj, bo one są tylko i jedynie sprzymierzeńcami w naszej walce z despotyzmem, a my liczymy tylko na siebie, na własne siły. Niemiecki proletaryat prowadzi walkę parlamentarną, a jego sympatye lub antypatye nic nam nie pomogą ani zaszkodzą, zaś bund jest nawskroś partyą narodowościową wyłącznie żydowską, a socyalni demokraci głoszą ideały, piękne w słowach, ale bez krwi i ciała, niepochwytne w swych formach, a przy zetknięciu się z rzeczywistością rozpływające się jak mgła. Jedyną partyą, na której w danym razie nam zależy, to rosyjska, ale ta, dążąc sama do wolności narodowej, rozumie nas lepiej i współczuje z nami walczącymi o wolność narodową. Nie widzę żadnej racyi zmiany naszego zasadniczego programu i radzę wam pozostać wiernymi idei niepodległej Polski.

Dyskusya stała się gorętszą po mowie Porwy, ostro krytykowano program dawniejszy, który dawał pierwszeństwo idei narodowościowej nad ideą walki klasowej. Posypały się wreszcie gromy na wsteczników, burżujów, wyzyskiwaczy pracy robotników. Sprawą płacy i warunków, dyktowanych przez fabrykantów i innych przedsiębiorców, najbardziej byli zainteresowani delegaci robotników i ulegli wymowie Nestberga, który postawił kwestyę w ten sposób, że wpierw trzeba się starać o uzyskanie dobrych warunków bytu, wpierw wymódz ustępstwa od pracodawców, a dopiero całą energię zwrócić na usamodzielnienie kraju.

Napróżno Porwa tłómaczył zebranym, że dopóki rząd obcy panuje, wszelkie ustępstwa fabrykantów są tylko chwilowe i zależne od ich woli, gdyż robotnicy, nie mając prawa zrzeszenia się, rozwinięcia agitacyi, zorganizowania się w siłę, muszą uledz w tej walce prędzej czy później.

Przy głosowaniu projekt Nestberga zyskał większość i stał się programem partyi.

Porwa, który do ostatniej chwili łudził się nadzieją utrzymania dawniejszej zasady, wstał i rzekł mocnym głosem:

— Wiecie towarzysze sami, że niemal od założenia polskiej partyi socyalistycznej u nas, pracowałem szczerze i nigdy nie szczędziłem ani czasu, ani sił, gdyż przyświecał mi jeden, jedyny ideał naszego narodu, oblany krwią walki stuletniej, niepodległość Polski. Dziś, gdy zamiast walki o niepodległość, głosicie kramarzenie się o kopiejki i zamiast łączności chcecie wszczynać bratobójcze swary i kłótnie, ja nie mogę razem z wami iść i pracować. Pozostanę na zawsze wierny sztandarowi niepodległości Polski, bo tylko ten jeden, jedyny sztandar może zgromadzić około siebie cały naród bez różnicy stanów. Drogi nasze rozchodzą się, nie jestem i nie będę waszym wrogiem i mam tę nadzieję, że prędzej czy później wrócicie do pierwotnego naszego programu, a wówczas zastaniecie mnie zawsze gotowym do wspólnej pracy.

W czasie mowy Porwy odezwały się poszczególne głosy:

— Gdzie solidarność!?

— Większość rozstrzyga!

— Karność partyi!

Porwa spojrzał w stronę krytyków i mówił dalej:

— Zawsze ulegałem większości i przestrzegałem tego surowo, tak względem siebie, jak i innych. I dziś, gdyby nasza partya tego żądała, uległbym bez wahania większości, lecz nasza partya, ta partya, do której należałem, po zarzuceniu dawnego programu, przestała istnieć, a do należenia do nowo powstającej partyi nikogo zmuszać nie można, to rzecz przekonań, a nie przymusu.

Skłonił się i wśród wrzawy, okrzyków drwiących i kpin wyszedł z posiedzenia, a za nim po chwili poszedł Igielski i Wicher, którzy na razie nie mogli się zdecydować, czy mają zerwać z partyą, czy też pozostać nadal mimo zasadniczej zmiany programu.

Gdy Porwa wszedł do mieszkania Logiki przyjęła go na wstępie pytaniem:

— Czy wracacie z posiedzenia?

— Idę wprost z niego — odpowiedział siadając ciężko na fotelu.

Logika, dostrzegłszy wyraz smutku w jego twarzy, mówiła miękkim głosem:

— Zmęczeni jesteście... dam wam herbaty — i nie czekając odpowiedzi poszła do kuchni, a gdy wróciwszy postawiła przed nim filiżankę, rzekła tonem wesołym:

— Pewno wysłuchaliście dziesiątki mów i projektów, bo o te rzeczy najłatwiej.

— Dyskusya była istotnie gorąca i zabierałem głos kilkakrotnie.

— Cóż uchwaliła nasza partya? — spytała zaciekawiona.

— Wystąpiłem z partyi — odpowiedział głucho patrząc w twarz Logiki.

— Wy!? — zdziwiła się — a powód?

— Większość była za zmianą programu zasadniczego. Usunęła niepodległość Polski, zastępując te słowa wyrazem: usamodzielnienie — uśmiechnął się z goryczą.

— Opowiedźcież mi przebieg sprawy, abym zrozumiała o co im chodzi — mówiła tonem surowej powagi.

Szczegółowo zdał sprawę z tego posiedzenia, a zakończył:

— Wyszedłem pożegnany gwizdami, drwinami i wyzwiskami w rodzaju burżuja, szowinisty, patryotnika itd.

I teraz stoję sam — westchnął.

— Nie sami jesteście... postąpiliście szczerze i odważnie. Wśród partyi znajdziecie dużo zwolenników.

Porwa spojrzał na nią bacznie i po chwili milczenia spytał:

— A wy Logiko?

— Ja? — mówiła z pewnem wahaniem — pozwólcie, że się namyślę, obliczę ze sobą... Wiecie, od śmierci Bala dużo przemyślałam nad naszemi partyami i socyalizmem.

— I doszliście? — poruszył się niespokojnie — gdyż i we mnie zaszły pewne zmiany.

— Tak?... Mówcież pierwszy Porwa.

On przysunął fotel bliżej ku niej i zaczął tonem zwierzającym się:

— Mojem zdaniem, Logiko, są dwa gatunki socyalistów, albo ślepo wierzących w możliwość urzeczywistnienia teoryj socyalistycznych, głoszonych przez uczonych teoretyków, albo też tych, którzy dążą do zmiany istniejących stosunków politycznych, społecznych, ekonomicznych, będących nawskroś kastowymi i uprzywilejowanymi. Czy zgadzacie się?

— No, tak... do pewnego stopnia.

— Ależ zważcie tylko... O pierwszym gatunku socyalistów szkoda czasu mówić... Każda idea, głosząca szczęście w przyszłości, czy religijne, czy polityczne, czy też ekonomiczne miewa i musi mieć swych fanatyków, lecz z chwilą, gdy idea zaczyna się wcielać w życie, fanatycy giną. Do drugiej grupy socyalistów zaliczam tych, którzy widząc opłakane skutki dzisiejszych stosunków dążą wytrwale do zmian, usuwają nadużycia, walczą z przywilejami, nie przesądzając wcale, czy w przyszłości ma zapanować ustrój socyalistyczny, czy też inny, byle tylko zmienić istniejące złe na dobre, a przynajmniej na znośne. Do tych ostatnich i ja należę.



Rozległy się dwa strzały, pierwszy strzelił Wawrzyk w ajentów, a drugi strzał był Bala.

Logika słuchała go uważnie, z twarzą surową, a gdy skończył, rzekła:

— Widzicie Porwa nie wiem, czy inni, ale co do mnie kwestyę państwa przyszłego, socyalistycznego odsuwałam od siebie. Nie lubię marzeń bezcelowych, a chyba nikt nie może powiedzieć, jak się przyszłość ukształtuje, ale od nas zależy zmienić teraźniejszość. Jedynem mojem pragnieniem i marzeniem jest praca, aby te szare, biedne, smutne życie milionów wydziedziczonych przekształcić w życie pełne radości, wesela, szczęścia.

— Dobrze mówicie, Logiko — powiedział ze szczerem uznaniem — tylko może zbyt jednostronnie. Ciężar dzisiejszych stosunków gniecie nietylko wydziedziczonych, ale wszystkich bez wyjątku i szczęście jednej klasy jest niemożliwe bez równoczesnego szczęścia wszystkich, a mówiąc ściślej, szczęście proletaryatu polskiego jest zawisłe od szczęścia całego narodu.

— Tak, to prawda — mówiła z namysłem.

— Otóż dlatego Logiko, porzuciłem partyę, gdy ona odrzuciła niepodległość, bo tylko niepodległa Polska może w czyn wprowadzić uszczęśliwienie całego narodu.

— A cóż teraz poczniecie?

— Nie wiem... ważę się w myślach...

— Bo wiecie, Porwa — mówiła z wahaniem — ja nie mogę należeć cała, duszą i sercem do jednej partyi, próbowałam już w dwóch partyach i obie są mi za wąskie... a może nie umiem się przejąć... nie wiem.

— Bo trzeba, Logiko, oprzeć się na całym narodzie, a nie na jednej klasie... i my stworzymy takie stronnictwo — zapalał się — wszystkich powołamy do pracy nad odrodzeniem i przekształceniem naszego narodu i naszem hasłem będzie przez lud dla ludu... I taka praca odpowie waszym pragnieniom, bo lud, to miliony wiodące życie szare, biedne, smutne, a zamienimy je na słoneczne, radosne, szczęśliwe.

Logika zarumieniła się z radości i powiedziała wesoło:

— Dobrze, Porwa, mogę z wami pracować o ile zgodzę się na szczegóły waszego programu.

Porwa spojrzał bacznie na uśmiechniętą Logikę, patrzał, jak gdyby chciał na zawsze utrwalić ją w swej pamięci i po chwili:

— Słuchajcie Logiko... chcę być z wami zupełnie szczerym — umilkł szukając słów.

— Alboż nie byliście? — zaśmiała się kryjąc zmieszanie.

— Nie umiem mówić grzeczności i czułości, więc powiem wam po prostu, że was bardzo a bardzo kocham. Nigdy żadnej kobiecie nie powiedziałem tych słów, wam pierwszej i ostatniej... Zdawało mi się chwilami, że sympatyzujecie ze mną i to mnie ośmieliło do wyznania... Naturalnie wasza odmowa w niczem nie zmieni naszego dotychczasowego stosunku, lecz gdybyście... gdybyście....

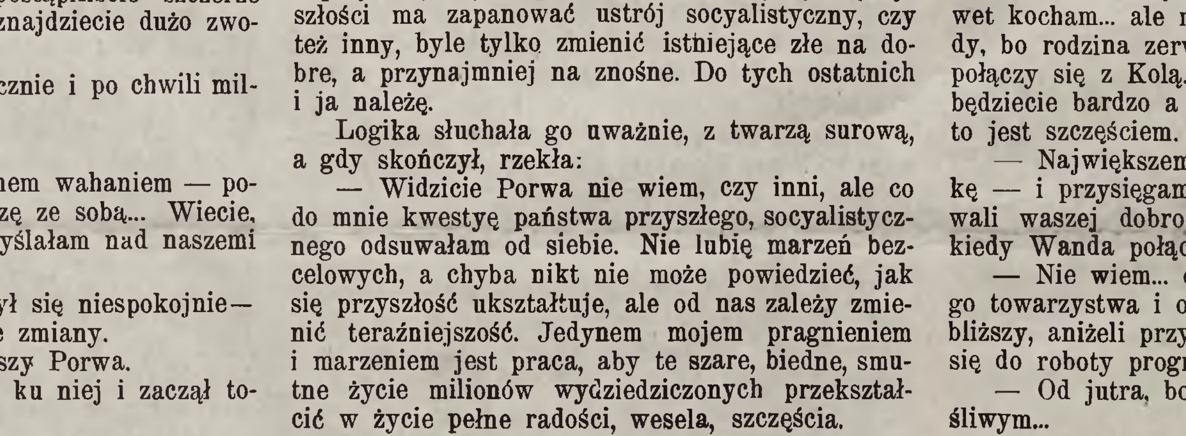
Umilkł, zmieszany spokojnym wzrokiem Logiki, która rzekła:

— Kończcie Porwa.. a może wolicie, ażebym za was kończyła — i na potakujący znak jego — gdybym została waszą żoną, bylibyście bardzo, a bardzo szczęśliwi... — uśmiechnęła się — Otóż ja was bardzo lubię... chwilami zdaje mi się, że nawet kocham... ale mam obowiązki względem Wandy, bo rodzina zerwała z nią, lecz jeśli Wanda połączy się z Kolą... wówczas — zaśmiała się — będziecie bardzo a bardzo szczęśliwi, jeśli wogóle to jest szczęściem.

— Największem i jedynem — uścisnął jej rękę — i przysięgam, że nigdy nie będziecie żałowali waszej dobroci dla mnie. A jak sądzicie, kiedy Wanda połączy się z Kolą?

— Nie wiem... oni coraz częściej szukają swego towarzystwa i obawiam się, że czas ten jest bliższy, aniżeli przypuszczałam... a kiedy weźmiecie się do roboty programu?

— Od jutra, bo czuję się tak silnym, tak szczęśliwym...



Pożar na rzece.

Niezwykły wypadek pożaru na rzece wydarzył się przed kilkunastu dniami w okolicy Niska. Oto w porze nocnej wybuchł tam na moście strategicznym na Sanie, obok Zarzecza pożar, którego ofiarą padł prawie cały most. Z szalonej gwałtowności, z jaką ogień ogarnął naraz cały pokład drewnianego mostu, można wnioskować, że czynną tu była jakaś zbrodnicza ręka. Nie jest jednakże wykluczone, że mógł tu zajść przypadek wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, zwłaszcza, że w tym czasie właśnie, odbywały się przy moście większe naprawy.

Wspaniały, piękny, a zarazem grozą przejmujący był to widok, gdy ogień ogarnął drewniany pokład mostu. Wśród ciemnej nocy zajaśniały blaskiem czerwono-złocistym, odbijającym się w nurtach spienionej rzeki, olbrzymie słupy ognia, oświetlając wyraźnie oba brzegi Sanu. Czarne kłęby dymu, wzbijające się przy łagodnym wietrze spokojnie i wysoko w górę, powiększały grozę obrazu.

Na wieść o wybuchu pożaru zjawiły się na miejscu wypadku straże gminna i dworska z Niska i przy ich dzielnej akcyi ratunkowej udało się część mostu przy obu brzegach ochronić od zniszczenia. Natomiast główna część mostu, zamieszczona nad łożyskiem rzeki, spłonęła doszczętnie.

Władze podjęły dochodzenia w celu wykrycia przyczyny pożaru, dotąd jednak pozostały one bez skutku.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne mostu przed pożarem i po pożarze.

Zaburzenia strejkowe.

Od miesiąca już trwa w Antwerpii, stolicy przemysłu Belgii, wielki strejk robotników portowych. Na żądanie podniesienia płacy, zjednoczeni przedsiębiorcy odpowiedzieli odmową, a na miejsce strejkujących sprowadzili robotników z zagranicy. Przybysze spotkali się na nowem miejscu pracy z wyzywającą postawą zawiedzionego w swych żądaniach tłumu. Rozpoczęły się pogróżki i szykany, po których przyszło rychło do zbrojnych starć. Napady stawały się coraz częstsze, liczba ofiar niewinnych wzrastała z dniem każdym. Policya nie była w stanie podołać całym masom robotników zagrażających spokojowi, burmistrz więc miasta zdecydował się na użycie straży cywilnej, która skuteczniej mogła stłumić szerzące się rozruchy. Interwencya siły zbrojnej zabezpieczyła spokój, który jednakże okazał się tylko podstępem, bo oto w ubiegłą środę wieczorem, zbrodnicze ręce podłożyły ogień w kilku punktach w składach drzewa, na wybrzeżu Meksykańskiem i w innych jeszcze miejscach. Antwerpia naraz ujrzała się oświetloną ogromnemi łunami pożaru. Ze wszystkich stron ogniste płomienie obejmowały miasto, tak iż zdawało się, że całe obróci się w perzynę. Przerażona ludność uciekała w popłochu, zostawiając dobytek na pastwę ognia, byle tylko uratować życie. Niszczycielski żywioł szalał, niosąc zagładę ludności, ale jednocześnie niweczył wszystkie nadzieje strejkujących; broń, którą wojowali, obróciła się przeciw nim. Przybyłe z sąsiednich miast straże pożarne ogień stłumiły; ujrzeli wtedy robotnicy, iż pastwą płomieni w pierwszym rzędzie padła ich dzielnica.

Załączona rycina przedstawia w całej grozie pogorzelisko. Szkody jakie sprawił ten dwudniowy pożar wynoszą przeszło 12 mil. franków, a odbudowanie tej dzielnicy nie będzie mogło postępować zbyt szybkim krokiem, ze względu na to, że podczas ognia potracili całe swe mienie.



Pożar na rzece: Most na Sanie przed pożarem.

Szewc zegarmistrzem.

Sławetny jest kunszt szewski, a mistrze jego do takich wyżyn sztukę swą doprowadzili, iż słusznie miana artystów żądać mogą na równi z innymi pretendentami do tak wzniosłego tytułu. Odkąd cechy istnieją, a liczą one już dziesięć wieków, promocja na godność majstra następuje przez „wyzwolenie“, i już w starożytności miano artysty przywiązanem było do dziedziny *artium liberalium* czyli „sztuk wyzwolonych“. Nie winien więc się



Pożar na rzece: Most na Sanie po spaleniu się.

obrażać aktor, gdy mu szewc, przynosząc obuwie potrzebne do grania choćby roli Hamleta, powie „kolego“, obydwaj są bowiem artystami. Naturalną jest więc rzeczą, iż szewcy sztukę swoją wynoszą po nad wszystkie inne i za mniej od siebie poczytują kolegów z innych fachów. W czyjej gospodzie cechowej wiszą wyryte złotemi zgłoskami na marmurowej tablicy sławniejsze nazwiska od szewców, których sławę cały świat głosi? Mieliśmy Jana Kilińskiego; opuścił swój warstat na Starem Mieście w Warszawie i wziął się do wojaczki, w której unieśmiertelnił się, lecz fachu swego nie porzucił; będąc w niewoli w Petersburgu uszył dla cesarzowej Katarzyny II. parę bucików i wręczył je osobiście z zgrabnym komplementem, iż nie zdarzyło mu się jeszcze nawet w Warszawie, robić trzewików na tak piękną nogę. I Niemcy mają swe sławy. Uwiecznił imię swe Hans Sachs, szewc z Norymbergii, zmarły roku 1576. W takt uderzeń młotka po kopycie i trzaskania pocięglem, układał wcale zręczne piosenki, które i dotychczas nucą wieczorami smętne Gretchen. Był to najznakomitszy swego czasu poeta niemiecki. Prac dramatycznych napisał przeszło 200, a poezyj z górą 1400, mimoto jednak rzemiosła swego nie porzucił do śmierci. Nie mniej wielkim szewcem był Jakób Böhme, sławny filozof, który dużo trudów zadał żakom szkolnym, gdy łamali sobie głowę nad poznaniem arkanów jego ustrojów świata. Szył buty i tworzył dzieła filozoficzne, które jednak ze strony protestantów sprowadziły na niego wiele nieszczęść i prześladowań, tak iż po śmierci 1624 roku wzbraniali się pochować na cmentarzu jego zwłoki.

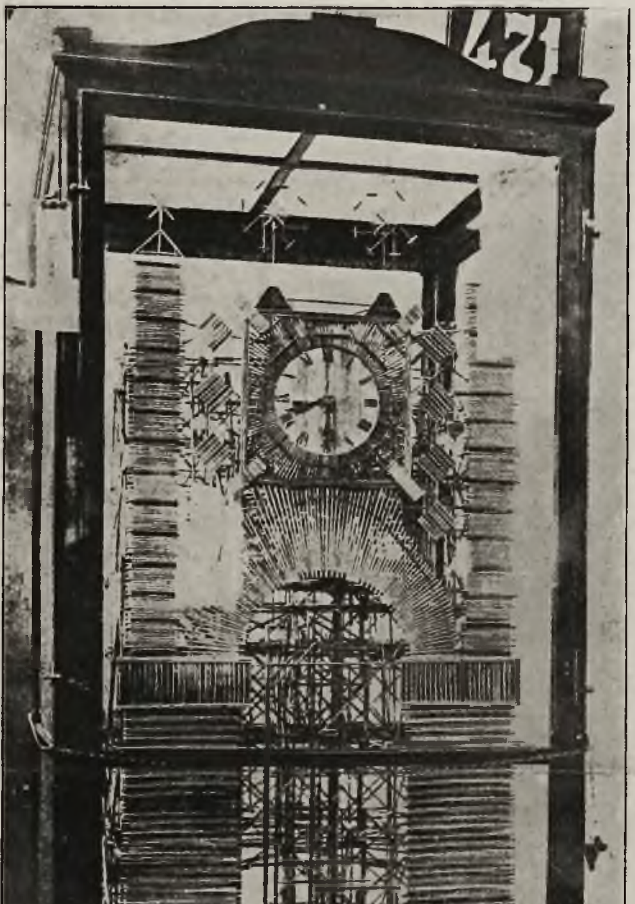


Zaburzenia strejkowe: Pogorzelisko ogromnego pożaru, wznieconego przez strejkujących.

Nowej sławy cechowi przyczynił szewc Wagner ze Strassburga. Cały zapas pilności i cierpliwości, jakie zdobiły jego umysł, poświęcił na zbudowanie najosobliwszego zegaru ze słomy. Przez lat piętnaście pracował nad tem dziełem słomianem, aż nakoniec wystawił je w Berlinie na wystawie wynalazków. Zegar ten, jak przedstawia nasza fotografia ma wysokości 1 metr 70 cm., cały zaś począwszy od najmniejszej sprężynki, a kończąc na zewnętrznych ozdobach, zrobiony jest wyłącznie tylko ze słomy. Zegar ten chodzi zupełnie punktualnie, ciekawem jest tylko, czy przetrwa swego twórcę.

Spotkanie na wygnaniu.

Nessun maggior dolore che vicordarsi del tempo felice — niema większej boleści nad wspominanie minionego szczęścia, już przed sześciu wiekami wyrzekł Dante, gdy, wprowadzony przez Wirgiliusza do otchłani piekielnych, ujrzał w nich poniżenie i męki wielkich świata ziemskiego. Słowa te aż nadto często przypominają się byłej władczyni Madagaskaru, królowej Banavalo-Manjaka III. Do niedawna pani tej podzwrotnikowej wyspy rządziła niepodzielnie podległymi jej ludami i w szczęściu dnie pędziła w Antananariwo, stolicy swego maleńkiego mocarstwa, aż padła ofiarą zaborczości kolonialnej Francuzów. Oddała się pod protektorat Francyi, która swą opiekę posunęła do tego, iż zajęła swemi wojskami Madagaskar, królowę zaś zdetronizowała. I rozpoczął się smutny los byłej królowej, minęły chwile szczęścia. Złożona z tronu władczyni zamieszkuje w Algierze, otrzymując od rządu francuskiego niewielką pensyę. Jedną z największych jej przyjemności jest zaw-

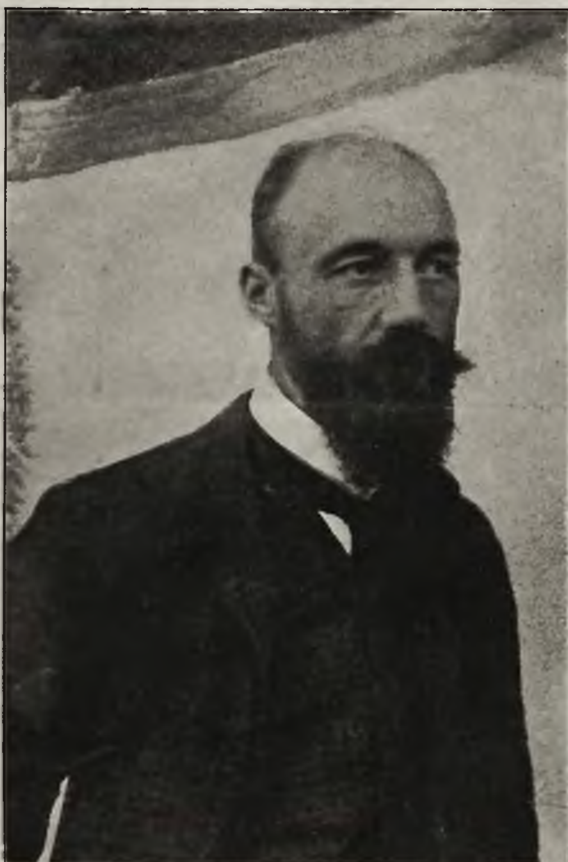


Szewc zegarmistrzem: Zegar ze słomy, na wystawie wynalazków w Berlinie.



Spotkanie na wygnaniu: Królowę Ranavalo pozdrawia na wystawie były jej muzyk nadworny Rassambo.

sze przejażdżka do Paryża, gdzie ludność ciekawa jej widoku, swem tłumnem przybyciem przed chwilową rezydencyę, sprawia jej wielką radość. Podczas ostatniego swego pobytu w Paryżu zwiedziła królowa wystawę kolonialną w towarzystwie swej



Walka z gruźlicą: Dyrektor zakładu w Alland dr. Sorgo.

ciotki, siostrzenicy i pani Delpeu, pełniącej urząd ochmistrzyni. Honory na wystawie czynił jej komisarz jeneralny wystawy, nasz rodak p. Dybowski, który przedewszystkiem zaprowadził królowę do pawilonu Madagaskaru. Charakter lokalny dekoracyi, płody, rośliny, owoce ziemi rodzinnej, dały byłej władczyni iluzyę powrotu do ojczyzny, zwłaszcza gdy naraz zjawiła się przed nią orkiestra madagaskarska. Kapelmistrz, pięćdziesięciopięcioletni Rassambo, wypowiedział „kabary“ czyli pozdrowienie w swym języku, poczem zagrano pieśni rodzinne. Melodya ich smętna, dobywająca się z „valjah“, pewnego rodzaju skrzypiec, do łez wzruszyła byłą królowę, zwłaszcza gdy wspomniała, że niezbyt dawno jeszcze ci sami muzykanci grywali jej te same pieśni, ale w ojczystym kraju, we własnej stolicy. „I niema większej boleści nad wspomnienie minionego szczęścia“.

Walka z gruźlicą.

Do najniebezpieczniejszych wrogów ludzkości, do najstraszniejszych klęsk, dziesiątkujących ją niemiłosiernie, należy gruźlica, w najwyższem stadyum zwana suchotami. Szerzy się ona zwłaszcza po miastach. W Europie i Ameryce prawie wszystkie miasta wykazują z reguły na 1000 wypadków śmierci, 60 70 wypadków z powodu gruźlicy. Tem straszniejszą jest ta choroba, że szerzy się ona nie jak inna zaraza, nagle i jawnie działając, lecz czyha na swe ofiary niepostrzeżenie — ale tem groźniej i niebezpieczniej. I wobec niej stoi dziś cała wiedza lekarska prawie że bezradnie. Najtęższe umysły współczesnych lekarzy całego świata pracują nad wynalezieniem środków przeciw gruźlicy, ale jak dotychczas jedno jest tylko pewnem: gruźlica może być wyleczoną lub przynajmniej dalszy rozwój tej zabójczej choroby uniemożliwiony tylko wtedy, gdy leczenie wczas jest rozpoczęte. Często małe tylko zaniedbanie uniemożliwia proces leczenia i sprowadza niespodzianie szybko śmierć.

Celem obmyślenia dalszych sposobów walki z tą straszną chorobą, zebrali się we Wiedniu pod przewodnictwem bar. Larischa uczeni lekarze wszystkich niemal narodowości na kongres, który obradował od 18 do 21 września. Zagaił obrady wiceprezes międzynarodowego związku dla zwalczania gruźlicy prof. v. Schroetter (Wiedeń). Imieniem rządu przywitał obradujących minister spraw wewnętrznych Bienerth, imieniem Rady miejskiej we Wiedniu wiceburmistrz dr. Neumayer.

Na porządku dziennym zjazdu był szereg referatów, omawiających bądź istotę gruźlicy, bądź sposoby walki z nią. Ponadto zwiedzili uczestnicy



Walka z gruźlicą: Kuracyusze w zakładzie w Alland podczas werandowania.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Walka z gruźlicą: Uczestnicy VI. międzynarodowej konferencyi gruźliczej w Wiedniu. 1. Prezydent zjazdu prof. Schrötter (Wiedeń). 2. Tajny radca Leyden (Berlin). 3. Prof. Calmette (Lille) 4. Prof. Frankel (Berlin). 5. Prof. William (Londyn). 6. Prof. Lorenz (Graz). 7. Prof. Panwitz (Charlottenburg). 8. Starszy lekarz sztab. Helm. 9. Prof. Carlson (Sztokholm). 10. Prof. Raw. (Liwerpol). 11. Prof. Pynapel. 12. Prof. Cornet. 13. Prof. Bujwid (Kraków).

kongresu sanatoryum ludowe w Allandzie, przeznaczone dla chorych w pierwszem stadyum gruźlicy. Położone w odległości cztern mil od Wiednia, wśród lasów świerkowych na wyżynie, ma jak najlepsze warunki, aby celom swym odpowiedzieć. Warunki przyrodzone wspiera tam znakomite urządzenie wewnętrzne i doskonała metoda leczenia. To też sukcesy dotychczasowe są wprost zadziwiające.

Szczególną zaś należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż jest to pierwsze sanatoryum ludowe, dostępne dla całkiem nawet niezamożnych sfer, zwłaszcza dla robotników.

Na kongresie był polski świat lekarski bardzo słabo reprezentowany. Był tylko prof. dr. Bujwid z Krakowa. W interwiewie z naszym korespondentem wyraził się prof. Bujwid z wielkiem uznaniem o pracach i praktycznem znaczeniu kongresu, dla nas zaś Polaków — mówił dr. Bujwid — którzyśmy nic prawie nie zrobili dla umożliwienia biednym chorym leczenia się w sanatoryach ludowych, pozostaje ogromne pole do pracy. A przecież wystarczyłoby, aby w naszych Karpatach wśród lasów urządzić zwykłe, ale hygieniczne chaty dla chorych i otoczyć ich opieką lekarską. Trzeba tylko dobrej chęci i energii!

W zwalczaniu gruźlicy najskuteczniejszym środkiem jest profilatyzm t. j. zapobieganie chorobie przez hygieniczne życie. A więc szerokie ustawodawstwo ochronne dla robotników, podniesienie hygieny miast i pomieszkań, a wreszcie znaczne pomnożenie sanatoryów i utrzymywanie ich przez państwo, kraj i gminy tak, aby biedny chory miał prawo do bezpłatnego leczenia — oto drogi, któremi pójść musimy, chcąc uniknąć zgubnych skutków tej strasznej zarazy.



Nowa komedya polska: Ignacy Nikorowicz.



Niezwykły romans: Hr. Henryka Pongraczówna w towarzystwie narzeczonego i jego rodziny.

Nowa komedya polska.

Teatr krakowski wystawił w ubiegłą sobotę lekką komedyę Ignacego Nikorowicza p. t. „Cenzor moralności“. Sztuka ta, oparta na dowcipnym pomyśle, opracowana bardzo zręcznie, jest sympatycznym dorobkiem tego działu swojskiej literatury dramatycznej, a zupełnie zasłużone uznanie, z jakiem została przez publiczność krakowską przyjęta, rokuje jak najpiękniejszą przyszłość młodemu a utalentowanemu autorowi.

„Cenzor moralności“ nie jest pierworodnem dziecięciem muzy pana Ignacego. Nazwisko jego bowiem jako autora dramatycznego znanem jest już z zeszłego roku, gdy teatry warszawski i lwowski grały jego przeróbkę sceniczną powieści Gąsiorowskiego „Pani Walewska“. Ponadto napisał już Nikorowicz dawniej oryginalną komedyę pt. „Julia“, która również niebawem ma być wystawioną.

P. Ignacy Nikorowicz, człowiek młody, elegancki, ogromnie układny i uprzedzająco grzeczny, znany jest w szerokich kołach Lwowa, Krakowa i Warszawy, gdyż w każdem z tych miast przebywał dłuższy czas. Zwłaszcza we Lwowie, gdzie przez szereg lat pracował w dziennikarstwie. Wszędzie zostawił po sobie pamięć jak najlepszą, wszędzie dużo przyjaciół, a nigdzie wrogów.

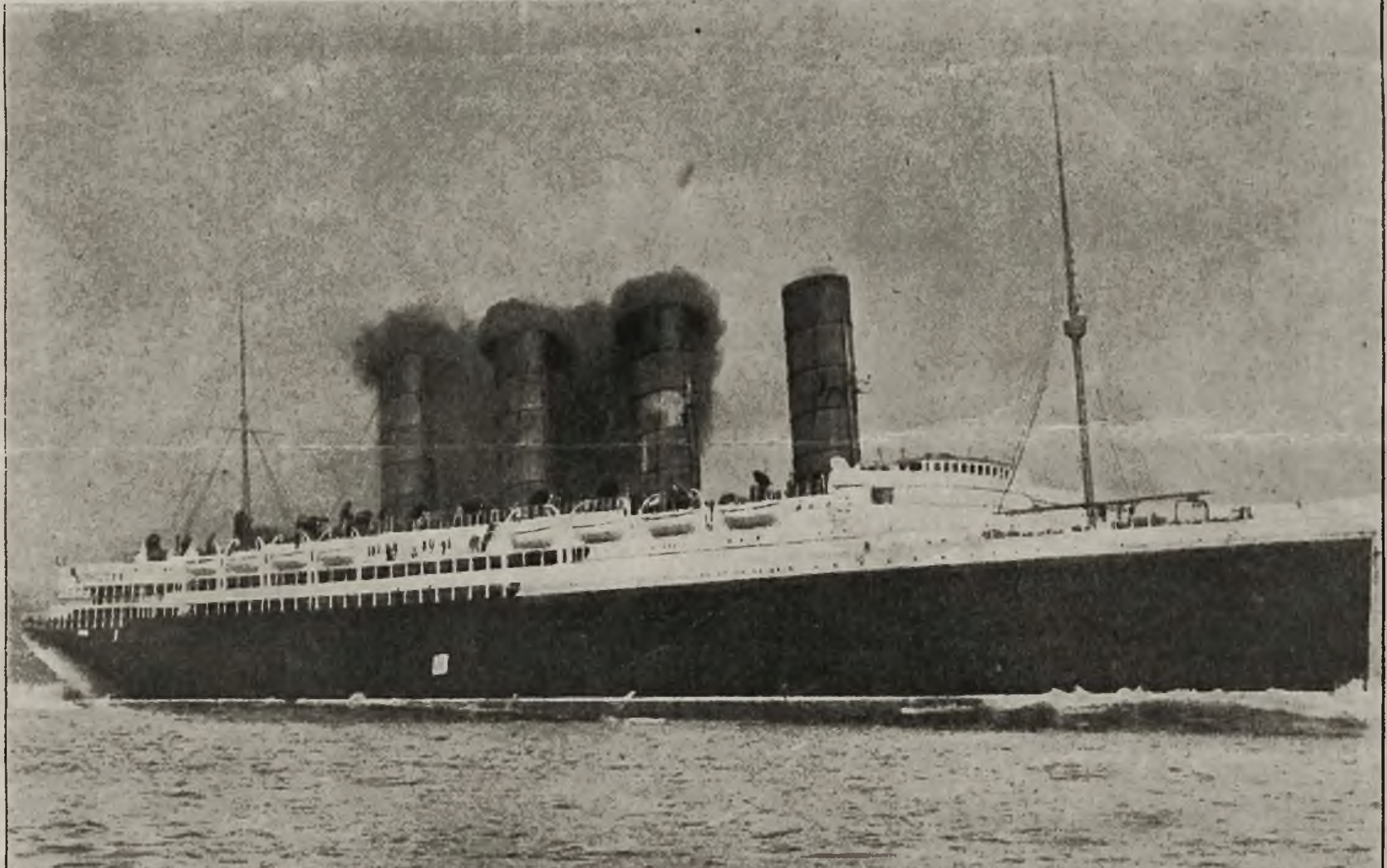
Sukces odniesiony dotychczasowymi występami młodego autora na scenie, zachęci go niewątpliwie do dalszych prób na tem polu.

Wyścigi okrętów na oceanie.

Dotychczas powszechnie znaną krainą olbrzymów była Ameryka ze swymi *sky scraperami*, drapaczami nieba. Nawet budują teraz w Nowym Jorku gmach o 47 piętrach; w ostatnich jednak czasach nowemu światu stwarza konkurencyę stary świat, w innej atoli dziedzinie. Europa buduje nie drapacze nieba, lecz drapacze morza. O ich wielkości może świadczyć to, iż jeden z nich, niemiecki parowiec, „Kaiserin Augusta Victoria“, przywiózł w lipcu bieżącego roku do Ameryki na swym pokładzie 3377 osób; pierwszą klasą jechało 557 osób, drugą — 279, trzecią — 223, międzypokładowych pasażerów było 1324, załogi zaś było 1000 osób.

Morskie drapacze rywalizują między sobą co do szybkości, podczas gdy ziemskie spierają się tylko o wysokość. Pierwszy rekord w tych morskich wyścigach zdobyła Anglia, której najszybszy parowiec „Lucania“ przebył w roku 1893 linię Queenstown-Nowy Jork w 5 dniach, 14 godzinach i 35-ciu minutach. Pobił go niemiecki parowiec „Deutschland“, który na przebycie z Nowego Jorku do Plymouth zużył 5 dni 7 godzin 38 minut. Obecnie Towarzystwo Cunard usiłuje zdobyć pierwszeństwo w tych morskich zapasach i nadzieje swe opiera na olbrzymim parowcu „Lusitania“. Okręt ten, odbywający pierwszą swą podróż, wyjechał z Liverpoolu, rywal zaś jego niemiecki, „Księżniczka Cecylia“ wyruszył w drogę z Southampton; oba dążały do Nowego Jorku. Między tymi dwoma parowcami wywiązała się gorąca walka o szybkość, przebieg której gorączkowo śledzono tak w Anglii jak i w Niemczech. Nakoniec po kilkudniowych zapasach pierwsza zawinęła do portu „Lusitania“, zużywając na cały przejazd $127^1/_2$ godzin, podczas gdy parowiec niemiecki przybył dopiero w kilka godzin później.

„Lusitania“, której fotografię obecnie podajemy Czytelnikom, posiada machiny o sile 70.000 koni.



Wyścigi okrętów na oceanie: Angielski parowiec »Lusitania«, jeden z największych i najszybszych okrętów pasażerskich.

otr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

11 Ciąg dalszy

Rigolo zwrócił się do rybaka zaciekawiony:

— A co? Nie chwyta jakoś dzisiaj? — zapytał znacząco.

Rybak przyłożył palec do ust.

— Nie trzeba tak głośno mówić — odpowiedział szeptem — bo ryby się płoszą.

— Widać szczęście drwi sobie z nas, mój przyjacielu, od dwóch godzin zwracam na was uwagę i...

— ...I nie złowiłeś pan również ani jednej rybki... Pan nie jesteś rybakiem?

— Zaczynam nim być dopiero... to mój debiut na tem polu i jestem dziś roztargniony.

— Źle pan robi... to niedobrze. Nie chciałbym być niedyskretnym, a jednak ciekawy jestem, co może uwagę pana zajmować?

— Co?... a gdyby tak... sprobójmy... Czy wiecie, zaciekawia mnie trochę ten dom, ten, naprzeciw zamknięty od góry do dołu, jak jaki skład lub więzienie?

— A czy pan wie do kogo należy?

— Wcale nie, a pan?

— Ja! ej! bo widzi pan przybyłem tu dziś rano, zarzuciłem haczyk i śledzę każdy ruch wędki, nie zwracając na nic uwagi, poza moją wędką nic mnie nie obchodzi, aż do chwili, w której ją zwijam i odchodzę.

I mówiąc to rybak wstał zabierając się do odejścia.

— Oh! pan już odchodzi? — zapytał zdziwiony Rigolo.

— Jakoś nie bierze dzisiaj i radzę panu nie męczyć się i uczynić tak. jak ja.

— Tak pan mi radzi?

— A tak! nie ułowi pan dziś nic napewno.

— Do widzenia więc drogi panie.

Rybak szedł już wysoko wybrzeżem.

— Do widzenia — zawołał głośno — do widzenia, do prędkiego zobaczenia panie Rigolo!

I znikł wybuchając śmiechem.

Rigolo z osłupieniem patrzał za nim. Człowiek, z którym mówił przed chwilą, znał go i poznał nawet pod przebraniem. To był Brzuchacz! Zmarszczka głęboka przecięła czoło Rigola.

— Oh! oh! — rzekł do siebie zwijając swoją wędkę — tu się coś niedobrego dzieje, — hm, hm, a więc w tym domu jest coś, co zaciekawia pana Brzuchacza. Ah! na honor moich prababek, zginę, a dowiem się co te łotry knują.

Rigolo wściekły poszedł do domu. Był bardzo niezadowolony. Ten Brzuchacz coraz bardziej się mu nie podobał. Nie pierwszy raz spotykał go w okolicznościach ważnych i niebezpiecznych i zachował zawsze po każdem spotkaniu z nim dziwne wrażenie. To nie był człowiek do pogardzenia. Rigolo znał się na tem; to był jeden z tych podejrzanych mieszkańców podziemi Paryża. Pod grubymi a często brutalnymi pozorami widniało wiele zręczności, która wskazywała wiele sprytu i doświadczenia w pewnym kierunku. Kilka razy Rigolo chciał go wciągnąć w rozmowę, ale za każdym razem łotrzyk zakpił sobie z niego, lub zbył milczeniem.

Według zasad wytrawnego policyanta, człowiek który nie chce mówić o sobie, jest niebezpiecznym ptaszkiem i nie wiadomo co kryć może w sobie. Rigolo był teraz przekonany, że Brzuchacz jedynie dla niego był na wybrzeżu. Znał on widocznie ten dom, który zwrócił uwagę ajentów, a może łączyły go stosunki z ludźmi, odwiedzającymi ten dom tajemniczy o dwóch wyjściach! Rigolo nie lubił zagadek, a ta była jedną z tych, która mogła go z niecierpliwości i spokoju wyprowadzić. Nie wspomniał nikomu o tem wydarzenin i w milczeniu i samotności ułożył plan działania. Cały dzień nie wyszedł z domu. Gdy wieczór już zapadł udał się na ulicę Bourbon, wszedł do winiarni i kazał sobie podać szklankę wina. Przebrał się w ten sposób, iż mógł być spokojny, że go rodzony ojciec nie pozna. Czoło jego zakrywała peruka z krótko strzyżonymi włosami, długa blizna przecinała mu lewy policzek, a dolna część twarzy ginęła w długiej siwiejącej brodzie. Kostyum zaś jego był istotnem arcydziełem. Stara zniszczona bluza, wystrzępiona na łokciach, krawatka zmięta, zwinięta prawie w wałek i niedbale zwieszająca się na szyi bez kołnierza, spodnie z szarego płótna, z pod których wyglądały drugie ciemniejsze. Wszedł do lokalu huśtając się na boki i usiadł w głębi sali. W tej chwili sala była pusta. Podano mu natychmiast czego zażądał. Rigolo zjadł i wypił z udaną żarłocznością, nie odzywając się ani słowem do usługującego chłopca.

Noc już nadeszła; kilku gości zajęło miejsca przy stolikach. Rozmawiali, pili i palili tanie cygara. Nic nie zwróciło szczególniejszej uwagi Rigola. Koło godziny dziesiątej wstał, zapłacił rachunek i wyszedł. Na ulicy zapalił fajkę i zaczął się kręcić koło numeru 36. Drzwi domu były zamknięte, tak samo okiennice; nigdzie ani śladu dozorcy.

Poszedł aż do końca ulicy i ku swojemu zdziwieniu zauważył po raz pierwszy ogród, dotykający do tego domu, do którego można się było dostać przez niską furtkę. Obejrzał ją z dokładnością znawcy. Najwidoczniej furtka ta nie była oddawna otwierana. Trawa rosła w szczelinach — gęste pajęczyny zwieszały się na zardzewiałych zawiasach i zamku. Zagadka stawała się coraz trudniejszą do odgadnięcia i Rigolo zapytywał siebie, co mogła robić młoda kobieta w tym opustoszałym domu.

Nagle Rigolo usłyszał odgłos kroków, dźwięczących na asfalcie chodnika. Cofnął się więc spiesznie w tył i ukrył w ciemności. Człowiek jakiś szedł w jego kierunku po ścieżce, prowadzącej do ogrodu.

Serce Rigola zabiło silnie. Miejsce, w którem się znajdował, było tak puste i opuszczone, że w dzień nawet rzadko kiedy ktoś tędy przechodził. Czekał więc niecierpliwie wytężając wzrok w ciemności. Oczekiwanie nie długo trwało. Człowiek jakiś szedł szybko, dochodził już do ogrodu, wyjął klucz z kieszeni, otworzył furtkę i wszedł do środka zamykając drzwi za sobą.

Rigolo odetchnął. Noc była ciemna; nie mógł dojrzeć rysów twarzy owego człowieka, lecz pozostało mu wrażenie, że musiał on być młodym.

Ajent wyszedł z ciemności, gdzie się ukrywał i obszedł ogród i dom naokoło. Coś się tu działo anormalnego! Ale co? Rigolo byłby oddał w tej chwili pół życia za odkrycie tajemnicy. Szybkim ruchem obmacał kieszenie; na szczęście był dobrze uzbrojony. Miał przy sobie dwa nabite rewolwery, sztylet i bokser — dostateczne uzbrojenie, by oprzeć się nawet kilku ludziom. Dziwna pokusa owładnęła nim. Wahał się jednak, sam nie wiedząc z jakiego powodu.

Nagle okrzyk stłumiony wyrwał się z jego piersi. Na rogu domu spostrzegł okno z balkonem. wychodzącym na ogród. W oknie tem zajaśniało światło! Człowiek, który przeszedł koło niego, musiał tam być!

Rigolo już nie mógł zapanować nad sobą. Tego już było za wiele! Poprostu ktoś jakby rozmyślnie żartował sobie z niego. Powrócił zaciekawiony do furtki ogrodowej. Drzwi były zamknięte! Jak się wziął do tego, by się otworzyć mogły, pozostanie to już jego osobistą tajemnicą. Zdaje się jednak, że wytrychy nie były wynalezione jedynie dla złodziei i zbrodniarzy i uczciwi ludzie muszą się nimi posługiwać niekiedy. Po chwili drzwi się rozwarły pod zręczną ręką Rigola, a on sam żywo wbiegł do ogrodu.

Ścieżki, dawno już nieposypane żwirem, porastały trawą i zielem — krzewy i drzewa porozrastały się dziko i bujnie, tworząc rodzaj ciemnego korytarza, który prowadził do samego domu. Rigolo doszedł do ganku bez przeszkody. Dyskretnym krokiem przeszedł stopnie schodów i pchnął lekko drzwi do sieni.

Panowała tu ciemność głęboka, która nakazywała zdwojoną ostrożność i uwagę. Wyciągnął więc z kieszeni pudełko zapałek i zapalił jedną odrazu.

— Ph! -- zawołał uradowany — jacy ludzie są niesprawiedliwi, narzekając na złą fabrykę zapałek! Cudowny wynalazek!

Trzymając zapałkę między palcami szedł prosto do schodów pierwszego piętra.

ROZDZIAŁ XIII.

Tajemniczy dom.

Rigolo szedł już teraz krokiem pewnym i elastycznym. Ogarniało go dziwne uczucie. Przeczuwał już teraz, że dom ten zamyka tajemnicę, mającą pewną łączność z dramatem, odegranym na ul. Monge.

Zaledwie przez mgnienie oka dostrzegł w ciemnościach, zalegających ogród, sylwetkę człowieka wchodzącego do tego domu i nie dalekim był od przypuszczenia, że człowiekiem tym była przebrana Lea. Ale po chwili musiał myśl tę porzucić Człowiek ten był wysokiego wzrostu i nic w jego ruchach nie zdradzało kobiety. Któż to był więc? Rigolo szedł po schodach i przy świetle dogasającej zapałki dostrzegł drzwi na wpół otwarte. Wszedł do środka, przeszedł przez przedpokój i dotarł do salonu, gdzie gęsty puszysty dywan tłumił odgłos kroków.

Nie poszedł już dalej. Zapałka zagasła i zupełna ciemność otoczyła Rigola. Ajent zaczął się teraz zastanawiać.

Niebezpiecznem było iść dalej, każdy krok mógł zdradzić jego obecność... Przedewszystkiem chciał podejść znienacka człowieka, który tu był, zanimby się mógł zabezpieczyć przed wzrokiem kogoś obcego. Stał więc na środku pokoju niezdecydowany.

Po chwili słaby promień światła, przedzierający się przez dziurkę od klucza, wyrwał go z zamyślenia. Pokój, który widział z zewnątrz oświetlony, przylegał do salonu, w którym się znajdował... kilka kroków dzieliło go od człowieka, którego chciał śledzić... Zbliżył się szybko do drzwi i ciekawe spojrzenie zapuścił w dziurkę od klucza...

Człowiek jakiś siedział przy dębowem biurku, przed nim leżały porozrzucane różne papiery, które czytał wsparłszy głowę na dłoniach. Rigolo nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale dziwny dreszcz przebiegł go od stóp do głowy i cofnął się jakby przerażony własnemi myślami.

— On!... to byłby on!... szepnął głosem wzruszonym i cichym jak tchnienie.

W tej chwili mężczyzna podniósł głowę. Rigolo skoczył krok w tył, jak gdyby bojąc się być poznanym.

— A to on do dyabła, czy ja śnię — szeptał prawie nieprzytomny. Przecież to nie może być prawdą! Czy to możliwe! Przecież dzięki Bogu nie utraciłem jeszcze wzroku. Na honor! śmiać się będziemy za chwilę! I nagłym ruchem nacisnął klamkę i wszedł do pokoju.

Na odgłos ten człowiek siedzący przy biurku odwrócił się i krzyknął.

— Pan!... to pan!... — rzekł wzruszony i pomięszany.

— Ja sam, panie Jerzy — odpowiedział Rigolo. — Gotów na pańskie usługi — dodał ironicznie.

Jerzy Beraldi wstał i postąpił kilka kroków ku ajentowi.

— To pan mnie śledził — zapytał niezadowolony.

— Phi! to moje rzemiosło! i niech pan sobie z tego nic nie robi. Zresztą chyba ja mam więcej powodu do zdziwienia, niż pan: Co pana właściwie mogło sprowadzić do tego pustego domu, który, zdaje się nie mieć właściciela.

— To pan nie wie, gdzie się znajdujemy — zapytał Jerzy Beraldi.

— Gdzież?

Jerzy nie odpowiedział; wziął do ręki lichtarz i przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie się zatrzymał i lichtarz wzniósł wysoko nad głową. Rigolo szedł za nim i spojrzał.

Na ścianie wisiał portret starca, którego twarz wyrażała energię i siłę; czoło miał wyniosłe — usta dumne i duże czarne oczy, a dziwnie łagodne wejrzenie.

Rigolo patrzył zdumiony i pomięszany.

— Któż to jest? — zapytał odwracając się do młodego człowieka.

Świecznik drżał w ręce Jerzego Beraldi.

— To jest portret hr. Bernarda de Tourelle— rzekł stłumionym głosem.

— Pańskiego ojca?

— Tak panie.

— A więc ten dom?...

— Należał do mojej rodziny... Spędziłem tutaj najszczęśliwsze lata mojego dzieciństwa i postanowiłem, że zostanie niezamieszkany do dnia, w którym będę mógł oczyścić honor i pamięć hrabiego.

Rigolo milczał; tysiąc różnorodnych myśli niepokoiło jego umysł, zamyślony poszedł za Jerzym Beraldim, który powracał powoli do biurka.

— Musiałem przerwać panu odczytywanie ważnych dokumentów familijnych — zapytał nagle ajent.

— Tak jest, nie myli się pan — odpowiedział młody człowiek. — Dla celu, do którego dążę, ważny jest najmniejszy drobiazg... i ciągle przeszukuję korespondencye mojego ojca, mając nadzieje, że przecież odnajdę w niej coś — pewne osobiste zwierzenia, poszlaki, które mnie naprowadzą na właściwą drogę.

— I nic pan nie znalazłeś?

— Nic jeszcze.

— Zapewne nie po raz pierwszy przychodzi tu pan w nocy.

— Od mojego powrotu jestem tu po raz trzeci.

— I nie obawiał się pan, aby go ktoś nie zobaczył?

— Tak... to prawda!... Widzę jednak teraz, że nie byłem dość ostrożnym, skoro pan mógł wejść tutaj.

— O! ma pan słuszność!

— Nie chciałbym, aby ktokolwiek wiedział o tych moich poszukiwaniach.

— Oh! ja to co innego! — odparł Rigolo — po pierwsze, jak powiedziałem panu, wypełniam tylko swój obowiązek, a przytem stało się to zupełnie wypadkowo i gdybym był nie dostrzegł z ogrodu światła w tem oknie, byłbym sobie poszedł stąd najspokojniej.

Słowa Rigola były zupełnie naturalne, a jednak sprawiły one głębokie wrażenie na Jerzym Beraldi. Poruszył się żywo i zdziwiony pochylił ku ajentowi.

— Przypadkowo!... – rzekł głosem niepewnym — okno oświetlone!... cóż to znaczy? Zdaje się, że między nami jest jakieś nieporozumienie. A więc to nie pan do mnie pisałeś dziś rano?

— Otrzymałeś pan list?

— Bilet, bez podpisu, który mnie wzywał na schadzkę tutaj dzisiejszej nocy.

Rigolo skoczył przerażony.

— Oh! oh! — rzekł uśmiechając się po chwili — Sytuacya się komplikuje!... Ah! proszę, ktoś do pana pisał i kazał mu tu być dziś w nocy! Do dyabła! Ależ to istny poemat! A czy posiada pan chociaż to cenne pismo?

Jerzy wyciągnął z kieszeni bilet i podał go ajentowi.

Na bilecie skreślone były tylko te słowa:

Bądź pan dziś wieczór w domu przy ulicy Bourbon, ktoś tam nadejdzie, z którym będzie pan mógł mówić o hrabiu Tourelle.

Rigolo przeczytał, włożył bilet do koperty i podał go Jerzemu.

— Któż mógł to pisać? — zapytał młody człowiek — Czy ma pan jakie przypuszczenia?

— Może!... — odpowiedział wymijająco Rigolo — ale nie o to chodzi jak na teraz; mam panu zadać kilka pytań. — Mówiłeś pan przed chwilą, że jesteś w tym domu po raz trzeci dopiero?

— Tak jest, pierwszy raz byłem tu na drugi dzień po moim powrocie do Paryża.

— A drugi raz?

— Przedwczoraj.

— Czy pokój ten zastałeś w tym samym porządku, w jakim go pozostawiłeś?

Jerzy zadrżał. Uwaga Rigola przychodziła w porę.

Młody człowiek zauważył, nie przykładając do tego większej wagi, że jedna z szuflad, którą był zamknął, zastał otworzoną.

— I cóż było w tej szufladzie — zapytał Rigolo.

Jerzy zbladł nagle.

— Ah! poczekaj pan — szepnął wzruszony — tak jest, nie mylę się... szuflada ta posiada podwójne dno i tam właśnie schowałem kartkę, którą mi wręczył Jakób Mayot!

— Popatrz-że pan czy kartka się tam jeszcze znajduje.

Jerzy bezsilnym ruchem otworzył szufladkę, o której wspominał, nacisnął sprężynę, umieszczoną przy podwójnym dnie.

— No i cóż? — zapytał Rigolo.

Jerzy Beraldi otarł chustką pot zimny, który mu spływał z czoła, i w drżącą rękę pochwycił kartkę.

Rigolo uczynił gest zadowolenia.

— Ah! tem lepiej! – zawołał — Ale nie straciłeś pan wiele... Widocznem jest, że szukano tego papieru.

— Może pan ma słuszność — rzekł — ale ta kartka nie jest jeszcze żadnym dowodem, zawiera tylko wyznanie mojego ojca, który u stóp szafotu jeszcze głosił swoją niewinność. To bardzo słaba broń w moich rękach. Słowa te są święte dla mnie, a nie posiadają siły, by zrehabilitować honor hr. de Torella.

Rigolo wziął kartkę w ręce i obracał ją na wszystkie strony.

— Kto wie! — rzekł jakby odpowiadając własnym myślom — Nie trzeba nigdy tracić nadziei, gdy się ma czyste sumienie za sobą. I choć, jak pan powiada, słabą jest ta broń, zdaje się, że posiada swoją wartość dla innych i wierz mi pan, staraj się tę kartkę usilnie zachować w swoich rękach. Strzeż się, aby ci jej kto nie wydarł!

— Och! Chyba z mojem życiem! Nie rozłączę się z nią nigdy!

— Dobrze pan uczyni... na pańskiem miejscu...

Rigolo nie dokończył, bo ręka Jerzego zacisnęła się kurczowo na jego ramieniu. Zamienili ze sobą szybkie, porozumiewające spojrzenie.



Człowiek jakiś szedł szybko, dochodził już do ogrodu, wyjął klucz z kieszeni i otworzył furtkę....

— Czyś pan słyszał? — zapytał Jerzy poruszony.

— O doskonale! — potwierdził Rigolo.

— Ktoś chodzi po ogrodzie!

— To zapewne ten, który panu wyznaczył tę schadzkę. Wyjrzyj pan i zobacz, kto to jest?

Jerzy podszedł do okna, uchylił firanki i spojrzał. Trwało to chwilę zaledwie... Rigolo przez ten czas zbliżył szybko do świecy kartkę hr. Torella, którą trzymał w ręce i przytknął ją prawie do płomienia. Trwało to mgnienie oka... Gdy Jerzy powróciwszy do ajenta został uderzony nadzwyczajnym wyrazem jego twarzy.

— Co panu jest? zapytał zdziwiony.

Rigolo podał mu kartkę złożoną.

— Nic — odpowiedział — zachowaj to pan, pomówimy jeszcze o tem i pamiętaj pan, na co masz najdroższego na świecie, nie pozwól się okraść z tego.

— Ale teraz nie o to chodzi — widziałeś pan tego człowieka? Przyjdzie tu i naprawdę ciekawy jestem, co mieć może panu do powiedzenia. Czy niema tu jakiego kącika, gdziebym się mógł ukryć?

Jerzy wskazał ajentowi gabinet, który służył niegdyś za pokój do palenia.

— Tam! wejdź pan tam — rzekł szybko — a spiesz się, bo słyszę już kroki na schodach. Nie trzeba, aby ktoś się domyślił obecności pana w tym domu. Wejdź pan i słuchaj uważnie!

Rigolo nie kazał się dłużej prosić, jednym skokiem był już w gabinecie. Czas był już wielki po temu. Zaledwie zdołał się ukryć, drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do salonu.

ROZDZIAŁ XIV.

Miłość Karła.

Była to Lea. Miała na sobie męskie ubranie tak jak w pierwszym dniu spotkania z Rigolem i Buvardem. Była bardzo blada, a pierś jej podnosiła się nierówno i szybko. Weszła do środka salonu i musiała oprzeć się o poręcz krzesła, by nie upaść.

Jerzy podskoczył do niej i podał jej ramię. Podziękowała mu gorącem spojrzeniem. Po chwili wyprostowała się i usiadła w fotelu, który jej podsunął młody człowiek.

— Dziękuję — rzekła przerywanym głosem — nie czułam się jeszcze nigdy w życiu tak zmęczoną. Nie myśl pan, żeby mnie noc lub samotność tak przerażały. Oddawna jestem przyzwyczajona nie obawiać się niczego. Ale myśl, że pana zobaczę, że będę z panem mówić i to o rzeczach, których nie przyjmiesz tak, jakbym pragnęła, wprawiło mię w pomięszanie, z którego nie mogę się jeszcze otrząsnąć.

— Pani pisała do mnie dziś rano — zapytał Jerzy zdziwiony tym nieoczekiwanym wstępem. — Chce pani mówić ze mną o hr. Torella? Więc pani mnie zna?

— Oddawna.

Młoda kobieta przycisnęła rękę do czoła i milczała chwilę. Zdawało się, że gwałtowne słowa cisną się przemocą na jej usta, a które ona siłą woli powstrzymywała.

— Wiem mniej więcej o wszystkiem, co się pana tyczy — rzekła — wiem o każdym kroku pana od powrotu jego do Francyi, gdzie wzywał pana najwyższy obowiązek, nałożony dobrowolnie przez miłość synowską. Przyczyny wyższe, czysto osobistej natury, stawały dotąd wpoprzek moich zamiarów. Dziś jednak już się wahać nie będę. Otoczony jesteś z różnych stron niebezpieczeństwami, panie hrabio, a ja chcę je oddalić od pana.

— Któż pani jesteś?

— Mam nadzieję doprowadzić pana do zupełnej ufności, otaczając go troskliwością i oddaniem, a wtedy nie zapyta się już pan kim jestem.

Jerzego Beraldi ogarnęła szczególna ciekawość i wzruszenie.

Lea widziała wrażenie, jakie jej piękność wywarła na Jerzym, czuła, że hrabia podlegał uczuciu, którego nawet zwalczać nie usiłował i uśmiech zadowolonej próżności rozjaśnił jeszcze delikatne rysy jej twarzy. Zbliżyła się do młodego człowieka i ujęła energicznym ruchem jego ręce.

— Posłuchaj mnie, panie hrabio — rzekła głosem pieszczotliwym, w którym przebijał się smutek — przyszłam na świat w złej godzinie i życie moje było bardzo ciężkie do tej pory. Matkę sobie zaledwie przypominam. Jak przez mgłę widzę tę nieszczęśliwą kobietę, jej twarz bladą, zalaną łzami! Co zaś do ojca, to lepiej uczynię, nie wspominając wcale! Oto, czem jestem, panie hrabio! i kto wie! może pozostawiona sama sobie, byłabym potoczyła się na samo dno hańby, gdyby mnie głębsze uczucie nie zatrzymało nad samą przepaścią.

— Co za uczucie? — zapytał Jerzy.

— Może kiedyś się pan o niem dowiesz. Ale teraz pozwól mi mówić dalej. Pewnego dnia spotkałam pana! Od dnia tego zrozumiałam boleść pana i niezasłużone cierpienie, które bezwzględnie odrzucało pana od towarzystwa, które nie przebacza synowi domniemanej winy ojca. Zdawało mi się, że w życiu mojem i pana jest coś analogicznego, fatalnego i ogarnęło mnie namiętne pragnienie wywalczenia panu tego, czego dla siebie samej uczynić nie mogłam. (C. d. n.)

ca. Zakochani nie mogąc liczyć na pozwolenie hrabiego na małżeństwo, zdecydowali się na krok stanowczy i naraz znikła z pałacu stanowcza hrabianka, a wraz z nią i piękny Andrassik. Rodzice młodej oblubienicy usiłują wysłać ją za granicę lub umieścić w sanatoryum dla nerwowych, pani Henryka opiera się jednak skutecznie rozkazom ojca i bez żalu spogląda z chaty ukochanego na mury rodzinnego pałacu Rewfalu.



Brylantowa narzeczona: Oktawiusz Orłowski.

Brylantowa narzeczona.

Ogromny rozgłos wywołała we Lwowie bardzo sensacyjna a jeszcze bardziej brudna afera, która rozegrała się wprawdzie bardzo daleko od Lwowa, której bohaterowie jednak znani są powszechnie na bruku lwowskim. Przedstawiły ją dokładnie bardzo, ze wszystkimi szczegółami, dzienniki lwowskie. Szczegóły te dają obraz takiego upadku moralnego, takiego zaniku wszelkiego poczucia etyki u osób wmięszanych w ten skandal, iż rumieniec wstydu okryć musi każdego ua myśl, że bohaterami tam są jednostki, noszące polskie nazwiska.

Oto jeden z grona „złotej młodzieży" lwowskiej, Oktawiusz Orłowski, zawiązał w zeszłym roku stosunek miłosny ze starszą znacznie od siebie, ale bardzo bogatą kobietą, panią Marpurgo, mężatką nie żyjącą z mężem i wyjechał w jej towarzystwie za granicę. Orłowski nie miał zupełnie pieniędzy, to też koszt wykwintnego, hulaszczego życia pokrywała z własnych funduszów zamożna narzeczona. Nazywało się to wprawdzie, iż p. Marpurgo tylko pożycza pieniądze Orłowskiemu, który opowiadał jej niestworzone historye o swym majątku rodzinnym, o czekającej go karyerze dyplomatycznej, o swych stosunkach z najwybitniejszymi rodami i obiecywał się z nią ożenić, w istocie jednak był piękny, różowy młodzian na utrzymaniu owej kobiety. Słodkie to były, prawdziwie szampańskie dni, jakie Orłowski z panią Marpurgo spędził w Monte-Carlo, Paryżu itd. Ale też w miarę używanych przyjemności, w miarę kosztownych zabaw, zwłaszcza przy zielonym stoliku w jaskiniach gry — a dodać trzeba, że Orłowski znany jest jako namiętny gracz — topniały coraz bardziej zapasy gotówki p. Marpurgo, jakie ona miała do dyspozycyi. Dodać zaś trzeba, iż oprócz Orłowskiego korzystał z pieniędzy p. Marpurgo i żył wystawnie na jej koszt szereg przyjaciół jego, między nimi znany powszechnie we Lwowie młodzieniec Franciszek Dembowski. Topniały, aż wreszcie stopniały. Wówczas gotówkę zastąpiły cenne klejnoty pani Marpurgo, jej pierścienie, kolczyki, kolie. Szły jedne po drugich do zakładów zastawniczych, a w zamian przychodziła gotówka. Słaba a rozkochana kobieta, do tego omamiona pięknie brzmiącem nazwiskiem kochanka i jego obietnicami, nie potrafiła oprzeć się jego prośbom i oddawała mu kolejno złoto i brylanty. A kiedy i te były na wyczerpaniu, kiedy do lombardu poszedł — i to bez wiedzy kochanki — jej cenny, pamiątkowy pierścień, ostatni z bogatej kolekcyi, zastawiono futra, garderobę, sprzedano cały szereg drobiazgów toaletowych.

Ale i to się wyczerpało. Narzeczona bez pieniędzy nie przedstawiała oczywiście dla rozrzutnego młodziana żadnego interesu. Nie pomny swych przysiąg, nie pomny zapewnień, ulotnił się Orłowski pewnego pięknego dnia i powrócił do Lwowa. To ocuciło ostatecznie p. Marpurgo. Dowiedziwszy się o miejscu jego pobytu, przybyła za nim do Lwowa. Szło jej już oczywiście nie o miłość jego, ani nawet o zwrot wyłudzonych przez niego pieniędzy, lecz o uzyskanie pewnej kwoty na wykupienie kar-



Brylantowa narzeczona: Tomasz Horodyski.

tek zastawniczych. Bo i te były zastawione i w razie niezapłacenia pożyczonych na nie pieniędzy, pani Marpurgo straciłaby bezpowrotnie wszystkie swoje klejnoty. Zwróciła się więc do Orłowskiego z tem skromnem żądaniem, ten jednak wraz z swymi serdecznymi przyjaciółmi Dembowskim i Horodyskim, nie tylko odmówił jej żądaniu, ale w brutalny sposób pobiwszy, wyrzucił ją z mieszkania.

P. Marpurgo nie mając innej drogi, zwróciła się do dzienników, które całą tę brzydką aferę szeroko opisały. Powtarzamy ją w streszczeniu.

Z lwowskiego bruku.

(Zepsuta sensacya, czyli mój pośpiech w zbieraniu materyału. — Afera brylantowa i moje oświetlenie. — Kto nie podziela tego zdania, a kto je podziela?)

O brylantowej aferze zagranicznej arystokratki z lwowskimi donżuaniętami z koła t. zw. złotej młodzieży, byłem poinformowany jeszcze przed dwoma tygodniami i zbierałem skrzętnie materyały sensacyjnego romansu, ażeby wszystko naraz puścić w „Nowości". Spodziewałem się nawet, że będę może pierwszym, bo cała prasa milczała, choć o wszystkiem mniej więcej dokładnie wiedziała. Tymczasem zepsuli mi sensacyę. Całkiem niespodzianie „Głos" socyalistyczny, a za nim „Kuryer" i „Wiek" roztrąbili światu całą aferę z takimi szczegółami, że mnie, który pozostałem z próżnemi rękoma, dziś pozostają tylko chyba jeszcze uwagi luźne na ten temat.

Nic dla mnie w tem dziwnego, że p. Orłowski wybrał się zagranicę na awanturki miłosne, ani w tem, że natrafiwszy na dojną... arystokratkę zaczął ją doić, gdy mu wyszły drobne. Ja mu się nie dziwię. Dziwić mu się może tylko ten, kto nie wie, co to miłość, co to gra w ruletę, co to kobieta, co to konieczność dojenia, gdy się mieć musi dużo, a niema się nic. Proszę państwa — ten młody człowiek kochał ją, na co jej zapewne niejeden dał dowód, a nawet uważał ją za żonę. Dalej już przecież miłość nie idzie, chyba, żeby się miał dla niej powiesić, a tego ona ani żądała ani potrzebowała. Ona go — potrzebowała i owszem żywego. A potem musimy wierzyć, że nie płaci się nigdy darmo. Nawet najbardziej lekkomyślna kobieta nie płaci nigdy darmo. Czy zaś płaciła za wiele, tego osądzać nie może i nie powinna ani prasa ani sądy z prokuratoryą. Ona go kochała i żądała od niego miłości, on ją kochał i żądał od niej pieniędzy. Ona go kochała i płaciła, on ją kochał i brał grajcary i puszczał je, swoją drogą nie sam, bo przeważnie z nią. Więc to, co u niej — powiedzmy po kupiecku — „zarabiał", ten pieniądz, którym ona mu płaciła, on puszczał nawet z nią. Chodziłoby tylko jeszcze o to, czy nie brał za wiele, skoro wziął jej wszystko. Mojem zdaniem nie. Kobieta kochająca nieraz przecież woła w zachwycie miłosnym: oddałabym wszystko za odrobinę twojej miłości. Ona nietylko wołała, ale odrazu oddała. Płaciła *per cassa*, bo p. Orłowski, jak kocha to kocha, ale nie na kredyt. Już i tak był dość ustępliwy, że zezwolił na raty, dla jej wygody, że nieraz sam nawet starał się o gotówkę przez zastawianie jej precyozów. Dalej nie mógł. Pytam więc w jego imieniu: co w tem złego?

A potem proszę i o tem pamiętać, że on z nią to właściwie byli ze sobą mąż i żona, przyjął sam tytuł hrabiego, dał jej tytuł hrabiny, sam się nazywał Orłowski, nazwał i ją Orłowską — ot, państwo hr. Orłowscy wszędzie się meldowali po hotelach. A więc para małżeńska. Czy raz się zdarza, że żona trwoni majątek męża, dlaczegoż niema się zdarzyć, żeby mąż puszczał fortunę żony? On w chwili tego puszczania czuł się tak bardzo jej mężem, że miał bez wątpienia wrażenie, jakoby puszczał swoje pieniądze. I jakiem prawem możemy kogoś obwiniać o to, że puszcza swoje lub swojej żony pieniądze?

Inna rzecz, że potem ulotnił się i przestał być jej mężem, ale takie rzeczy zdarzają się nawet w tych małżeństwach, które należycie pobłogosławione zostały w kościele przed ołtarzem, czemuż nie miałyby się zdarzać, jeśli im nie ksiądz, tylko bożek Amor ślub dawał, co prawda, może bez świadków uroczystych i bez poprzedniej zapowiedzi.

Biorą mu za złe to, że ją wogóle porzucił i wrócił do kraju. Ja mu tego za złe brać nie mogę. Skoro widział, że ona już nic niema i nawet sama siebie utrzymywać już nie potrafi, to byłoby przecież nie po dżentelmeńsku, gdyby był jeszcze siedział jej na karku. Nie mógł przecież żądać, by go dalej utrzymywała, skoro już sama nic nie miała — zbyt dobrym jest na to szlachcicem i zbyt dobre ma serce. Powiedział, jak honorowy człowiek: nie masz więcej, to nie żądam więcej — bo wiedz, żem szlachcic a nie świnia! I pojechał... Tak robi dżentelmen.

A jak natomiast postąpiła ona? Postąpiła, jak postąpić tylko mogła *eine Dame von Draussen*. Naprzód narzuciła mu się ze swoją miłością, pomimo że była znacznie starszą od niego. Jako kobieta starsza omamiła niewinnego młodzieńca, zagrała na jego zmysłach, rzec można, prawie dziewiczych jeszcze, oszołomiła go bogactwem, urodą co prawda sztuczną i brylantami. Tak już się dzieje w świecie, że młodzi ludzie wpadają często w sieć misterną, zwłaszcza, gdy siatka przetykana jest brylantami. Więc wpadł. Znalazł się w siatce i nie mógł się z niej wyplątać. Sam się zakochał i to go trzymało, że ona jego jeszcze więcej kochała. I co miał robić? Tylko to co robił. Lecz jakże niewdzięczną okazała się ona, ta kusząca Loreley ze złotem nie we włosach (bo brunetka), ale w kabzie? Oto, gdy zmarnował na niej swój czas i swoje siły, gdy służył jej do ostatniego centa i odjechał, aby jej ulżyć w dalszych wydatkach, zamiast mu być wdzięczną i w zaciszu klasztornem, albo innem mile wspominać jego imię i czas z nim spędzony i wszystkie westchnienia wspólne i rozkoszne sceny i wzajemne wymuszenia i głośne bankiety i ciche szepty i małe figielki i wielkie rachunki — siada na kolej i wali do Lwowa, aby mu zrobić awanturę i żądać zwrotu. Czy honorowa arystokratka żąda zwrotu, gdy raz już dała? Na to pytanie niech odpowiadają ci, którzy ją dziś biorą w obronę w artykułach dziennikarskich, a jego obrzucają obelgami...

To jest moje stanowisko panie i panowie, a sądzę, że cała lepsza tj. wyższa, tj. upałkowana ludzkość podziela w zupełności moje zdanie.

Kl.

Zasłużona firma.

Znana powszechnie w Krakowie, jedna z najstarszych tutejszych firm, magazyn towarów bławatnych i konfekcyi damskiej p. Henryka Schwarza, przeszła w zeszłym tygodniu w ręce syna poprzedniego właściciela, p. Leona Schwarza. Firma ta ma w Krakowie piękną tradycyę. Założona w roku 1836 przez Alojzego Schwarza, mieściła się najpierw w Rynku, od r. 1850 zaś w ulicy Grodzkiej. Od tego roku pracował tam p. Henryk Schwarz, który po śmierci założyciela firmy objął ją na własność. W czasie swej działalności zdobył p. Henryk Schwarz bardzo poważne i wybitne stanowisko. Powołany przed laty na stanowisko starszego Kongregacyi kupieckiej, służył kupiectwu krakowskiemu z całem oddaniem się. Jest dalej członkiem rady miasta, Izby handlowo-przemysłowej i wielkiego wydziału Kasy oszczędności, wszędzie pełniąc przyjęte obowiązki z całą sumiennością.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Zasłużona firma: Okna wystawowe i wejście.

Obecnie złożył radca Schwarz prowadzenie całego przedsiębiorstwa w ręce swego syna Leona. Nowy właściciel ukończył akademię handlową, ma nadto kilkuletnią praktykę w zakładach zagranicznych oraz w firmie ojca. Samodzielną pracę zaczął od przerobienia całego magazynu i wyposażenia go w najlepsze i najznakomitsze towary, tak iż najwybredniejsze nawet wymagania pań mogą być zaspokojone.

Sklep odnowiony przedstawia się imponująco. Już wystawa i wejście, ujęte w rzeźbione ramy z cieszyńskiego piaskowego kamienia, zwracają uwagę. Za olbrzymiemi lustrzanemi szybami mieszczą się trzy wystawy: jedna na lalki w gotowych kostiumach, druga na bławaty, trzecia na płótna, chustki i. t. p. Wnętrze jest również urządzone praktycznie



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Zasłużona firma: Salon z gotową konfekcyą damską.

i z komfortem. Jest tam prócz dwu dużych sal sklepowych kantor właściciela, poczekalnia dla pań i dwa gabinety do przymierzania sukien. Obok zaś leżą pracownie, urządzone nadzwyczaj hygienicznie.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis

Zasłużona firma: Poczekalnia dla pań. Na lewo kantor właściciela, na prawo przymierzalnia.

Firma p. Schwarza zatrudnia obecnie około 50 osób; pracownia męska wykonywa kostiumy angielskie, żakiety i okrycia, żeńska zaś lekkie francuskie okrycia. Oddział bławatny sprzedaje wszelkiego rodzaju materyały na suknie i kostiumy damskie, jedwabie, płótna, perkale itd. Wybór konfekcyi damskiej jest nadzwyczaj duży, co wobec doskonałości towaru, uprzejmej obsługi a niewysokich cen, zapewni firmie pod nowym kierunkiem jeszcze większe niż dotychczas powodzenie.

„Żółte niebezpieczeństwo“ w Krakowie.

(Do illustracyj na stronie 14).

Coraz częściej gości Kraków w swych murach egzotyczne figury. Byli tu w ostatnich czasach Amerykanie, byli murzyni, byli Japończycy, a teraz zjawili się dwaj synowie „państwa niebieskiego“, całkiem prawdziwi Chińczycy, z prawdziwemi warkoczami i w oryginalnych strojach narodowych.

Są to panowie Jout-schang i Ling-mong-ming, młodzi ale poważni kupcy z Szangaju. Przed dwoma prawie laty opuścili strony ojczyste i z paru tobołami, zawierającymi bardzo piękne wyroby artystycznego przemysłu chińskiego, ruszyli na Zachód; byli naprzód w Indyach, następnie morzem popłynęli do Anglii, stamtąd udali się do Francyi, a dalej zdążyli do Austryi i przez Wiedeń, a następnie przez Śląsk dostali się do Krakowa. Dalszym etapem ich kupieckiej wędrówki będzie cesarstwo niemieckie, w szczególności Berlin, dokąd pojadą po załatwieniu interesów we Lwowie i w Czerniowcach. Do ojczyzny spodziewają się powrócić za jakie półtora roku.

W czasie swej dotychczasowej podróży nauczyli się panowie Jout-schang i Ling-mong-ming mówić wcale dobrze po angielsku i cokolwiek po niemiecku. Prowadzą oni handel rozmaitymi ozdobnymi drobiazgami, wyrabianymi w Chinach z marmuru, oraz wzorzystemi tkaninami, ręczną robotą niewiast chińskich. O ile zapasy ich się wyczerpują, firmy chińskie zaopatrują ich w nowy towar.



Krakowianin w operze warszawskiej: Tadeusz Łowczyński.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis. Kraków

Zasłużona firma: Personal firmy, Radca ces. Henryk Schwarz b. właściciel i jego następca p Leon Schwarz w pośrodku.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

16 Ciąg dalszy.

IX.

Fabrequette domagał się natarczywie, aby go natychmiast zaprowadzono do sędziego śledczego Malverne'a. W komisaryacie uważano to za wykręt złodziejski. Nie pomogły zapewnienia, że tu waży się życie ludzkie, że odkrył straszną zbrodnię. Komisarz dyżurny postanowił odroczyć sprawę do dnia następnego, bo godziny urzędowe minęły i późny wieczór zapadał.

Obaj z Trofimowiczem spędzili noc w areszcie policyjnym. Mimo niepokoju o los Szaszy, mimo silnych wrażeń, usnęli twardo, posileni pożywieniem więziennem, mając jakie takie posłanie, wygodniejsze od gołych desek podłogi w ulicy Marbeuf.

Nazajutrz rano, skoro tylko Fabrequette oczy otworzył, zaczął domagać się, aby go czemprędzej zaprowadzono do prefekta policyi i do sędziego Malverne'a, ale dozorca więzienia zbywał go szyderskim uśmiechem, mówiąc:

— Znamy już takie bajki. Ho, ho, słyszało się jeszcze lepsze. Te bajeczki sprawy nie przyspieszą. Nadejdzie godzina urzędowa i wtedy pójdziecie do protokołu obydwaj; ani minuty wcześniej, ani minuty później.

Nareszcie około dziewiątej wezwano obu do biura komisarza policyjnego, który urzędował w oddziale „złodziejskim“. Spisywanie protokołu z Fabrequettem potrwało z godzinę, a gdy kolej przyszła na Trofimowicza, pokazało się, że bez tłómacza rosyjskiego, wysłuchać go nie można. Zanim tłómacza wyszukano, zanim przybył, upłynęły dwie godziny. Fabrequette i Trofimowicz wpadali w rozpacz; malarz tak był rozdrażniony, że już nie mógł panować nad sobą i krzyczał, bił nogami o drzwi, łamał sprzęty, przeklinał policyę. Zdawało się, że oszaleje.

Gdy wreszcie tłómacz się zjawił, wezwano koło południa Trofimowicza do przesłuchania. Spokojna postawa Rosyanina, twarz tryskająca uczciwą szczerością, głos jasny, czysty, dźwięczny, mimo siwego włosa na głowie starca, wywierały wrażenie ujmujące, budziły zaufanie do człowieka, którego o złodziejskie praktyki podejrzywano.

Trofimowicz był zrazu zakłopotany, widząc, że go tylko jeden człowiek rozumie. Nasunęło mu się podejrzenie, że może błędnie, lub niedokładnie przetłómaczy jego zeznania, zaczął więc z tłómaczem rozmawiać po rosyjsku i uspokoił się dopiero, gdy poznał, że tłómacz jest rodowitym Rosyaninem. Przytem poważny wiek tłómacza i uczciwy wyraz twarzy, uspokoiły go do reszty.

Zadawane przez komisarza pytania, bałamuciły wprost starego; lakonicznie, protokolarnie nie zdołał się wyrażać. Dopiero gdy tłómacz poprosił, aby dano zupełną starcowi swobodę, rozgadał się na dobre, ożywiając się coraz bardziej.

— Toć ja wypiastowałem hrabiego Pawła Mikołajewicza Konstantynowa. Za starego pana wzięli mnie do służby, do kredensu, a miałem wtedy ze dwadzieścia lat. Tak, ze dwadzieścia mi było. W kilka lat potem, urodził się mały hrabia Paweł Mikołajewicz. Przy mnie rósł. Piękny był, a dobry. Ledwie to podrosło, już go pełno było wszędzie i w pałacu i w ogrodzie i w stajni. A wszyscy kochali panicza, bo dla każdego coś wyprosił, każdemu dał bodaj dobre słowo, jak nie miał co innego. No, tak ja zostałem za kilka lat lokajem i miałem służbę przy paniczu. Ot, to służba, aż się dusza radowała. Panicz nigdy nie grymasił, dobre mu było wszystko, byle tylko opowiadać mu to i owo, jak to po wsiach ludzie prawią. Tak stary pan widzi, że panicz mnie lubi, to i każe mi zabawiać go. Był guwerner do nauki, a ja do zabawy.

— Pan komisarz prosi, abyście nie mówili tak dużo o tem, co do sprawy nie należy — rzekł tłómacz.

— To i dobrze. No, to ja zaraz powiem co innego. Jakże to było? Aha! No tak. Panicz wyrósł, a piękny był, a dzielny. Ho! ho! Nawet w gwardyi niema takich sokołów, jak był mój panicz. No i skoro już miał dwadzieścia kilka lat i z wojska już wrócił, tak stary pan ożenił panicza, a sam niedługo potem umarł i starsza pani umarła i we Weryi został sam mój panicz z młodą żoną. Ej, piękna ona była, piękna. Z rodu hrabianka Xenia Aleksandrówna Orłowa. Piękna była, ale słabego serca. Ot, na prawo, na lewo okiem. Na wsi jej się nudziło, to do miasta, do Petersburga jej pilno, a do Paryża, a do różnych kąpiel w niemieckich krajach. Panicz ją kochał, no i pozwalał robić, co chciała. Smutno było paniczowi, bo już z dziesięć lat minęło, a może i więcej, a dziecka doczekać się nie mógł. Raz się urodził chłopiec, ale umarł; potem dziewczyna, ale i ta zaraz umarła. Potem pani chorowała, no i tak pusto było, ta i smutno w pałacu. Aż nareszcie dał Bóg Szaszę i Szasza się chował pięknie i zdrowo. Co za radość była! A Szasza całkowicie do panicza podobny. Dobry, mądry, a i hardy, jak panicz. Oj! Matko Przeczysta, ja tu wam opowiadam, a Szaszę chcą zabić. Możeby dać mu teraz ratunek? Ja opowiem potem, a teraz puśćcie mnie do Szaszy, zaprowadźcie; ja mu nie dam nic złego zrobić.

— Bądźcie spokojni; Szaszy nie stanie się nic złego; jeszcze czas; wszystko będzie dobrze. Mówcie, a prędko — uspokajał tłómacz.

— Oj Szasza, mój gołąbek kochany! A co ja to mówił? Aha! Szasza już miał ze sześć lat, tak hrabina, jego matka, znowu do Petersburga ciągnie. Ta i pojechali na całą zimę i bawili się, a hrabina po swojemu, na prawo i na lewo. Niby nie była nieuczciwą, broń Boże; to się tam nie pokazało nigdy, ale tak lubiła podobać się i wdzięczyć do każdego. No i stało się nieszczęście. Mój panicz pokłócił się z księciem Dymidowem o żonę, tak i pojedynek i panicza książę zastrzelił w pojedynku. Tak marnie zginął mój panicz, marnie, przez babską zalotność. Napłakał ja się, napłakał dość! Oj! niema już mego panicza, tylko biedny Szasza sierota, gołąbek. No i pani hrabina wróciła do Weryi i rok siedziała na wsi i modliła się i żałobę nosiła. Dobra była, uczciwa, tylko że tak już z natury zalotna.

Ażci w półtora roku po śmierci panicza nie mogła już wytrzymać, ta i zagranicę, do niemieckich kąpiel wybrała się ze Szaszą i mnie wzięła z sobą. Daleki świat z Weryi. No i tam zaczął jej zachodzić drogę piękny, postawny pan i poznał się z nią, no i tak jakoś czar na nią rzucił, że wnet wyszła za niego za mąż. Co też to się we Weryi teraz działo! Mocny Boże! Ten nowy pan, to prosty Niemiec, a bestya zła, dokuczliwa, przewrotna. Naprowadził służbę niemiecką, naszymi gardził, ludzi naszych poniewierał! Mnie strasznie niecierpiał, bom mu w palcu patrzył. Wywnioskowałem ja zaraz, że to jakiś oszust, a nie pan. Wciąż wyjeżdżał w świat, wciąż odbierał listy niemieckie, wciąż przyjeżdżali do niego Niemcy. Wszystko to po szachrajsku wyglądało.

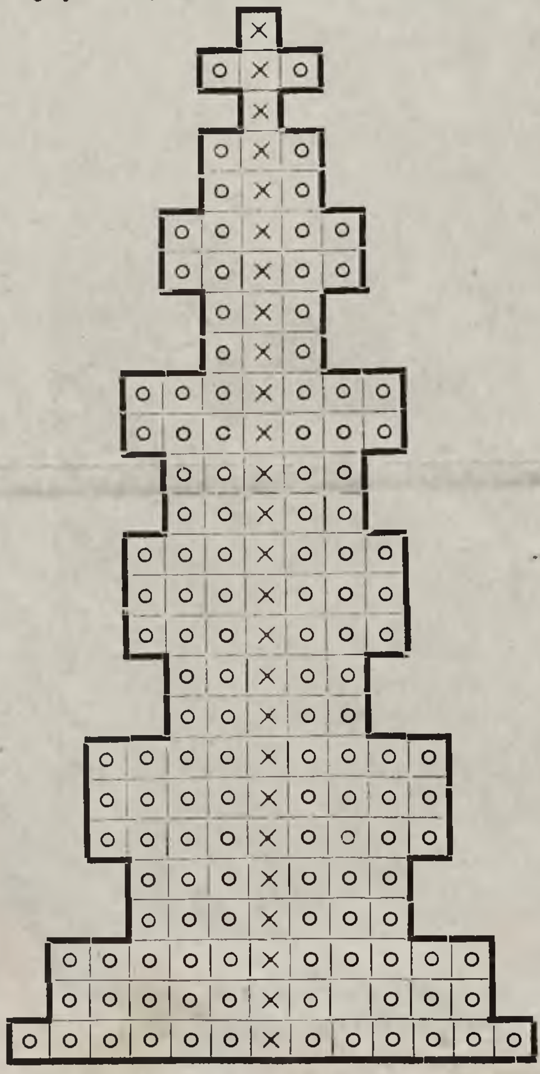
(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadka do nagrody.

Logogryf.

Ułożył H. Kowalski z Mogiły.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Drzewo. 3. Spółgłoska. 4. Młodociany sługa dworski 5. Miasto meseńskie. 6. Bogini egipska. 7. Przyrząd sportowy. 8. Dawna broń. 9. Polska nazwa artretyzmu. 10. Ptak. 11. Poprawianie błędów w druku. 12. Inaczej krewny. 13. Okręt biblijny. 14. Tkanina ozdobna. 15. Imię męskie. 16. Miasto nad Dnieprem 17. Instrument muzyczny. 18. Miasto w Rosyi. 19. Roznosiciel dzienników. 20. Sport. 21. Starożytny zegar. 22. Kraj w Europie. 23. Forma do odbijania czcionek. 24. Podatek wojenny. 25. Malarz polski. 26. Powieść Czajkowskiego.

Kryptograf literacki.

Ułożył Aleksander Dyżewski, Włocławek.

Obok przytoczonych nazwisk wymienionych antorów, napisać po jednym tytule ich utworów, aby początkowe litery tych utworów czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko krytyka i literata polskiego: Matuszewski, Kochanowski. Orzeszkowa, Milewska, Konopnicka. Chrzanowski, Dygasiński, Okoński, Reymont, Gruszecki, Kościelski, Mickiewicz, Laskowski, Tetmajer, Gliński, Gawalewicz, Gąsiorowski, Krasiński.

Kwadrat magiczny.

(Ułożył L. Wygrzywalski Kraków).

Słowa ułożone z podanych liter czytane jużto poziomo, jużto pionowo z góry, są odpowiednio te same.

a	a	a	a	a
a	b	e	e	k
n	n	n	o	o
o	o	r	r	r
r	r	r	w	z

Znaczenie wyrazów: 1. Święta księga. 2. Schronisko dla bydła. 3. Przyrząd sportowy. 4. Scena w cyrku. 5. Przysłówek.

Zagadka.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Z następujących 17 zgłosek złożyć 6 wyrazów, tak, aby początkowe litery czytane z góry na dół dały miasto, a końcowe miano osoby, która się tam wsławiła: a, a, din, dło, en, ga, jaj, lu, mi, o, ra, ron, ne, nia, ta, wa, zy.

Znaczenie wyrazów: 1. Przestroga 2. Rodzaj pługa. 3 Nazwa prowincyi z czasów cesarstwa Rzymskiego. 4. Malownicza dolina wśród Alp. 5. Brat Mojżesza. 6. Rzeka w Rosyi.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy powieść Sclawusa p. t. »Nihiliści«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 37.

Szarada.

Domicela.

Kryptogryf.

I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

Logogryf.

Friedman — Tetmajer.

Kwadrat magiczny.

Potas, Opole, Torba, Albin, Seans.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: S. Spunda Skała, Karol Fuchs Czeremchów, W. Czerkawski Przeworsk, H. Leligdowicz Fraga, B. Ramułtowicz Jeżów, M. Małaczyński Pikułowice, W. Samborski Kraków, F. Niepokój Krosno, A. Bocsoń Bóbrka, F. Michalski Kraków, »Urząd pocztowy« Starzawa, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Jabłoński Stanisławów, M. Opolska Czarny Dunajec, Z. Malski Lwów, »Tow. kasynowe« Rozwadów, J. Haładej Górki, M. Arbesbauer Lwów, E. Bogdalska Koropuż, R. Łażeczkówna Bąków, R. Jaworski Lwów, Celerin Bukowsko, W. Adamski, Kraków, Z. Jaroszyński Błudniki.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. W. Adamski, Kraków. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności